

KAROL BUNSCH

ZDOBYCIE KOŁOBRZEGU

KAROL BUNSCH

ZDOBYCIE KOŁOBRZEGU

W GOTOWOŚCI

Położone nad Odrą, naprzeciw Głogowa, błonia bieliły się od namiotów. Rozległy łęg, ciągnący się aż ku osadzie zwanej Serby, stratowany tysiącami kopyt, poszarzał jak po przejściu szarańczy. Zgromadzone od dwóch niedziel wielkopolskie, śląskie, krakowskie i sandomierskie rycerstwo głowiło się, dokąd mu iść wypadnie, bo od świtu do zmroku książę Bolesław ćwiczył i opatrywał hufce, szczególną troskę koniom poświęcając. Pieszych wojsk z grodów, w których odbywali służbę chłopci z książęcych i rycerskich włości, książę nie ściągnął, co potwierdziło domysły starszych i doświadczonych wojów, że czeka ich daleka wyprawa, w której szybko iść przyjdzie.

Choć młodocianemu księciu wąs jeszcze nie zakrył blizny na wardze, od której Krzywoustym go nazwano, nie pierwszy raz prowadził zastępy do boju. Nie licząc wypraw, które dzieckiem jeszcze będąc pod Sieciechem [* Sieciech z rodu Starzów-Toporczyków - wojewoda i doradca Władysława Hermana, na którego miał wpływ nieograniczony. Wygnany z kraju za sprawą synów księcia.] odbył, już jako podrostek przy boku ojca dowodził hufcem, a sam zdobył Międzyrzecz i Pomorzan spod Santoka odegnał, za co, nie doszedłszy jeszcze do lat sprawnych, pas otrzymał.

Siedemnaście lat dopiero liczył książę, ale nie mniej bitew zapisało się szczerbami na jego tarczy i pancerzu.

Wyrósł wśród wojny i widoczne już było, że imię, sławą przodków okryte, nowym blaskiem ozdobi, a przy nim niejeden czy to z rycerskich rodów, czy z prostych wojów, którzy los swój związali z jego losem. Z możliwych gniazd trzymali z nim odsunięci przez Sieciecha wielmoże, jako to: Awdańce, Strzemieńczyki, Jastrzębce i Łabędzie, którzy teraz, przy boku młodego władcy, do władzy i zaszczytów wracali. Garnęła się też do niego młodzież i proste rycerstwo, widząc w młodym księciu wzór męstwa, a przeczuwając władcę i wojownika.

Ustawiczna wojna stawała się rzemiosłem niosącym bogactwa z łupów i nadań obszernych, choć najczęściej pustych ziem, które brańcami obsadzić należało. Nie dziw przeto, że poszliby i na cesarza, i na diabła samego, nie pytając, dokąd ich książę Bolko wiedzie.

Nie zaprzęтали sobie też tym myśli w pogodny dzień sobotni. Książę zarządził wypoczynek, a sam z palatynem Michałem, głową rodu Awdańców, pojechał do Głogowa. Wyplawione konie pognano w łąki, a teraz, korzystając z ciepłego jesiennego dnia, pławiła się młodzież. Niemało potu zmyć trzeba było i utrudzone kości wyłożyć do słońka, bo pewnie wkrótce znowu przyjdzie pocić się i trudzić. Bolko nie żałował ni siebie, ni ludzi, ni koni.

Natomiast siedzący przed szeroko rozwartym namiotem trzej wodzowie głowili się, kiedy i dokąd wyruszą. A może głowili się tylko dwaj, bo komes Skarbimir Awdaniec milczał i jeno półgębkiem jakie słowo rzucił. Musiał wiedzieć więcej niż inni, bo cieszył się zupełnym zaufaniem młodego księcia i wraz z ojcem swym, starym palatynem Michałem, największy miał wpływ na niego. W pełni sił męskich, suchy i niezbyt wysokiego wzrostu, nie dawał pozorów takiego wojownika, jakim był w istocie, wsławiony zwłaszcza w walkach swych z Pomorzanami, a nie mniej w układach, do których książę go rad używał, bo umysł miał obrotny. Jeszcze niepozorniej wyglądał Skarbimir

przy olbrzymim, choć bezrękim Żeliszlawie z rodu Belinów i szerokim jak dębowy pień Wojsławie Toporczyku, wrocławskim komesie i byłym ochmistrze młodego księcia. Wojsław zawidził Skarbimirowi znaczenia i niezbyt go lubił, nie chciał przeto wprost zapytać, czy wie, dokąd pójdzie wyprawa. Mruknął jeno jak do siebie:

- Chcieli Bolko na Czechy uderzyć, mógłby nie stać na oczach. Już by ślepi być musieli, gdyby nie pomiarkowali.

- Piętnaścieset pancernych nie dostrzec trudno, ale i zgryźć niełatwo - odparł, bawiąc się kubkiem, Awdaniec.

- Swego chcąc dokonać, a strat uniknąć, lepiej z nagłą uderzyć - zauważył Toporczyk. - Zaś bez pieszego luda i machin grodów przecie dobywać nie będziem.

- Wy we Wrocławiu ostać macie, by od granicy dawać baczenie. Zaś Bolko umie i bez machin grodów dobywać, jako pod Santokiem pokazał - wymijająco odparł Skarbimir.

- Tedy myślicie, że na Pomorze ruszy?

- Gdy koński łeb przed sobą obaczę, będę wiedział, dokąd nam droga. A na Pomorze zawždy rad chadzam i nawet osiadłbym tam.

- Bywali tam już książęcy namiestnicy za Hermana. [* Brat Bolesława Śmiałego, sprawował władzę w Polsce w latach 1079-1102. W wyniku wojny domowej, spowodowanej intrygami Sieciecha, na żądanie synów podzielił kraj na 3 części: starszemu, Zbigniewowi, oddał Wielkopolskę z Kujawami, Bolesławowi - Małopolskę i Śląsk z Ziemią Lubuską, sam zatrzymał Mazowsze. Podział ten stał się później przyczyną długotrwałych walk o tron między Zbigniewem i Bolesławem Krzywoustym.] Ale inna rzecz kraj najechać, a inna w nim osiedzieć.

- Póki zamęt w kraju, a szarpią nas ze wszystkich stron, trudno by tam osiedzieć - odparł Awdaniec. - Ale prędzej-później zająć Pomorze trzeba. Nasz ci to kraj od Mieszkowych czasów i naród ten sam. Nie żyć nam bez morza, jako drzewu bez wody, a nie zajmiem my, to weźmie Niemiec lub Duńczyk i jakoby nam dźwierze na świat kłoda zawalił. Zaś do czasu odgryzać się musim, bo już pod Międzyrzecz i Wyszogród docierają. Zaś Skjalm Hvide - Jomsborg, a Eryk Eigod Rugię zajął.

- Mówili, że pomarł w Ziemi Świętej - wtrącił Belina - tedy się Ranowie [*Ranowie lub Rugianie - mieszkańcy wyspy Rugii, należący do grupy Słowian zachodnich.] pewnikiem wyzwolą. Ale co nam o to! Na Rugię konno nie zajedziem, ja zaś rad bym pociągnął na Morawy, za rękę, com tam ostawił, odpłacić.

- Wždyście tego, co wam prawicę odjął, lewicą na miejscu ubili - zaśmiał się Skarbimir. - Małoż wam odpłaty?

- Gdyby nie to, że i lewa niczego sobie, doma bym siedzieć musiał jak stara baba. Ale i złota ręka, co mi ją Bolko dał, za tamtą nie stanie. Dobra była i nawykłem do niej, a ninie tyle, że szczyt sobie do kikuta wiązać każę - odparł Żeliszlaw.

Woj sław niezadowolony, że odwróciła się rozmowa, a niczego pomiarkować nie wydolił, powstał mówiąc:

- Pójdę i ja się wypławić, bo ciepło, a ku odmianie się ma.

Jakoż błękit nieba bladł i szarzał, chylące się już ku zachodowi słońce przygasło, a bory na lewym brzegu Odry zasnuwały się mgiełką. Pusty dotychczas obóz zaroił się od wracających z kąpieli wojaków. Wracali gwarnie z pieśnią i prześmiejchami. Jeden dzień wypoczynku przywrócił bezwąsej często jeszcze młodzieży nadmiar sił, toteż zawrzało w obozie. Beładny tłum rozsypał się, kupiąc w gromady dokoła namiotów.

Rycerstwo stało w obozie rodami, z których każdy zatkniętym na żerdzi znakiem rodowym miejsce swe wskazywał tak w obozie, jak w szyku czy bitwie. Luźniała już jednak rodowa więź, bo w burzliwych czasach niejeden się rodu wyrzekął albo i ród - jego. Coraz też częściej w szeregach rycerstwa zjawiał się czy obcy przybysz, czy kmieć za męstwo do rycerskiej godności podniesiony. Boczyło się na nich rodowe rycerstwo, nowościami niechętnie, zwłaszcza odszczepieńcom. I teraz Wojśław, mijając Żegotę, który przezwisko Zaprzańca za zawołanie swe przyjął, obrzucił go niechętnym spojrzeniem. Nie dosłyszał, jak Żegota powiedział do stojącego obok Przedśława Łabędzia:

- Dziw, że się ziemia nie ugina pod tak wielkim dostojnikiem. Ale Sieciech większy był jeszcze, a ninie obcy chleb jada.

- Gorzki jest obcy chleb - odparł Przedśław, jakby własnej myśli odpowiadając, gdyż wiadomo było, że nie Sieciecha żałował. Podeszedł zaraz sprawdzić gotowość swego hufca, nie wątpił bowiem, że skoro patrzeć, jak ruszą.

Od pacholęcia służył Przedśław Śmiałemu i wraz z nim uchodzić musiał, jeno powrócił późno, z powodu szczególnej zawziętości, jaką przeciw niemu żywił przemożny palatyn Sieciech. Pół życia niemal na wygnaniu spędził, obcym służyć zmuszony, a piąty krzyżyk wisiał mu już nad twardym karkiem, którego uginać nie umiał. Rodowi zapomnieli o nim, a on się nie przypominał. Włos już mając szpakowaty, pojął młodą sierotę niskiego pochodzenia i osiadł na uboczu za Odrą, nie przyjaźniąc się z nikim. Czas jakiś spokojnie przesiedział, ale nawykły do wojny, gospodarzyć ani chciał, ani umiał. Zaciągnął się tedy w Bolkową służbę, a księżę, wojnę mając we krwi, wrychle ocenił wojenne zalety Przedśława, choć ponury i szorstki wojak nikomu nie starał się przypodobać.

Cenił księżę w radzie jego zdanie, z którym się nie pytany nie narzucał, a w boju - rękę, którą powierzonych sobie ludzi trzymał jako nikt inny. Łupów ni nagród nie był chciwy, jeno bez walki żyć nie potrafił. Żonę z dwojgiem małych dzieci zostawił bez opieki i stanął w obozie, gdzie mu księżę nad najemnikami powierzył dowództwo, do czego lepiej się nadawał niż ktokolwiek inny, bo i mowy obce znał, i ludzi, ile który wart, przejrzeć umiał szybko. Nie brakło wśród najemników takich, co, korzystając z zamętu w kraju, przed mieczem sprawiedliwości uchodzili, choć na ogół biegli byli w wojennym rzemiośle, a dbali o sprzęt i konie.

Przedśław długo w noc siedział w swym namiocie i słuchał, jak poświstuje wstający na polu wiatr, niosąc chwilami bryzgi deszczu, który setkami kropel szeleścił po napiętym płótnie. Wreszcie wstał i obszedłszy strażę, ułożył się spać.

Mglisty dzień nadchodził leniwie, a dymy obozowych ognisk, przy których warzono strawę, rozwlekały się pasmami po równinie. Starszyzna o świcie pojechała do Głogowa na naradę. Wróciła koło południa wraz z księciem, który przegląd wojsk zarządził, i wówczas wiedział już każdy, że może godziny jeno pozostały do odejścia. Zapanowało podniecenie, ale jak ściana żelazna, najeżona sulicami, [*włócznie] stały hufce, gdy je księżę na myszatej klaczy objeżdżał, bystrymi oczyma opatrując, zda się, każdego człeka czy konia. Myśleli, że zaraz ruszą, ale księżę rozpuścić ich kazał, a spyży na pięć dni nagotować.

Wzięli się tedy gotować mięso i kaszę, placki wypiekać przy ogniskach i gadać. Starszyzna już musiała wiedzieć, dokąd pociągną, ale widno księżę mówić zabronił, bo pary z gęby nie puścił żaden. Doświadczeni woje obliczali, dokąd za pięć dni dotrzeć można. Najmłodszy z Bolkowej przybocznej drużyny, Bogusław Bończa, przysłuchiwał się gadaniu i sporom, a potem, odgarnawszy jasną czuprynę z dziecinnych jeszcze oczu, rzucił:

- Pomnijcie, co ja powiem: na Kołobrzeg pociągniem.
- Ruszyło ciele ogonem - mruknął ponury Wszebor z Brodów.
- Może na Rzym? - zakpił Dersław Godziemba.
- Rad bym na Rzym - odparł spokojnie Bogusław - ale jeno głupi tak mniemać może. Nic nam w Rzymie do szukania.

- Żebyś nas nie objaśnił, nikt by nie wiedział. Aż dziw, że takiego łepaka ksiązę nie w radzie, jeno za giermka trzyma - zadrwił Wszebor. - A i do Kołobrzegu za pięć dni niełacno zajechać.

- Zajedziesz, nie bój się. Jeno konia twego mi żal, bo wiadomo, że siedzisz na nim jak kwoka na jajach. Byś jeno reszty rozumu nie wytrzepał.

- Ty kąśliwy szczeniaku! Bym ja z ciebie rozumu nie wytrząsał! - twarz Wszebora zadrgała złością.

- Wytrześ! Przyda ci się.

Wszebor porwał się do bitki, ale podczasy krakowski, Jastrzębiec, który, stojąc z boku, przysłuchiwał się przekomarzaniu młodzieży, huknął:

- Stać! Kto pierwszy uderzy, koniowi za ogonem pojedzie. Ksiązę bójek w obozie zakazał.

Wszebor powściągnął się, ale burknął:

- To czemu starszym odszczekuje?!

- Bom nie wół, jako ty, by ryczeć - odpalił Bogusław.

Wszebora złość aż zatkała, ale zmilczał, jeno sapał gniewnie. Inni śmiali się, wiedząc jednak, że Bogusław do księcia ma dostęp, radzi byli usłyszeć, skąd ma wiadomość. Pytali jeden przez drugiego:

- Pewnikiem wiesz, czy miarkujesz jeno?

- Wiedzieć, nie wiem. Alem słyszał, jak ksiązę z Michałem i Skarbimirem uradzali, od morza-li uderzyć czy od lądu.

- To i na Wolin czy Kamień iść możem.

- Wždy tam dalej stąd niż do Kołobrzegu.

- Juści prawda. Ale ci się coś przesłyszeć musiało, bo i do Kołobrzegu pięć dni nie starczy.

- Żebym to jedno słyszał, mógłbym się mylić. Ale o Reinbernie mówili.

_ No to i co? Nie znam nikogo takowego imienia - wtrącił Wszebor.

- Dużo ty nie wiesz, tedy słuchaj mędrszych. Biskup ci to był kołobrzeski.

- Jaki zaś biskup kołobrzeski? Wždy Pomorce pogany są.

Tu wtrącił się podczasy mówiąc:

- Ale za Mieszka chrzczeni byli, a za Wielkiego Bolesława w jednym czasie z Krakowem i Wrocławiem Kołobrzeg biskupią stał się stolicą. Jeno za pogańskiego nawrotu, po śmierci drugiego Mieszka, duchownych wygnali, zaś katedrę znowu zamienili na kącinę. Gdy Odnowiciel zbił Masława, którego Pomorce wspomagali, hołd złożyli, ale przy pogaństwie ostali. Kaźmirz zaś dość miał pracy, by w Polsce zburzone kościoły odbudować. Potem zasię skorzystali, gdy Szczodry gdzie indziej był zajęty, by się znowu oderwać, bo dogodniej im łupić nas, niż daniny i powinności świadczyć. Zaś od Sieciechowych czasów boją się jako ognia piastowskiego panowania, bo Sieciech wielmożów wyrzynał, a prosty naród łupił. A ty - dodał zwracając się do Bogusława - milczeć się naucz. Nie chce ksiązę, by wiedziano, dokąd idzie wyprawa, nie twoja rzecz gadać. Skoroś taki łebski, sam powinienes rozumieć, że gdyby się rozniosło, dokąd idziem, zdrajca Zbigniew przestrzec gotów, bo z Pomorcami w przymierzu, i on to zaraz po śmierci starego księcia na nas ich napuścił.

Mądryemu starczy, że sam wie, jeno mędrak puszyć się lubi.

Bogusław poczerwieniał jak dziewczyna, czując, że mu słusznie przyganiono. Po chwili bąknął:

- To i co, że napuścił? Spraliśmy ich i aż do Białogrodu na nich zajechali. Zaś jutro i tak każdy wiedział będzie. Bo jeśli do Kołobrzegu, to na północ jak strzelił.

- I to już wiedzieć winienesz - powiedział podczaszy - skoro taki z ciebie wojak doświadczony, że na wojnie nieraz nawet nie dzień, ale chwila stanowi. Swędzi cię zaś język, to zaśpiewaj, bo śpiewasz pięknie, a gadasz nicpotem.

II POCHÓD

Gdyby jednak Zbigniew przestrzec chciał Pomorzan o wyprawie Bolesława, iście na ptasich skrzydłach wieść przesłać by musiał. Przedślaw, idący w przedniej straży, rozkaz otrzymał, by podążać ile pary w koniach, i gnał też - jak ścigany - przesmykiem między lasami. Wyszędłszy o szarym świcie, nim słońce wzeszło, minął osadę Krzepielów, przed południem przeszedł koło Sławskiego Jeziora i zwolnił dopiero na bagnach Obry, za którymi zanurzył się w lasy. Grzaskie podłoże nie pozwalało na szybki pochód, a często las walić trzeba było, by przebyć grzędawisko. Przed zachodem dotarli do Kopanicy. Znużeni woje spodziewali się, że tam zdrętwiałe kości przez noc wyprostują, ale próżna była nadzieja. Przedślaw zarządził jeno krótki popas, konie kazał przetrzeć i naobroczyć i dalej pociągnął, nim nadeszła idąca nieco w tyle książęca drużyna z samym Bolkiem i palatynem Michałem. Przy świetle gwiazd, które odbijały się w wodach Chobienickiego, a potem Zbąszyńskiego Jeziora, ostatnim tchem końskim dotarli do Zbąszynia, gdzie wreszcie stanąć kazał na nocleg, ognie rozniecić i szalasy dla starszyny przygotować, bo osada była niewielka, a noce już chłodne.

Nim pokończono przygotowania, nadciągnął książę, a za nim dalsze szyki, zaś niewiele już przed północą przybyła tylna straż pod wodzą Szawła Odrowąża z Końskiego, przy której szły juczne konie, bo wozów żadnych nie brano na wyprawę. W miarę jak dochodzili, koniary wiedli konie w łąki nad jeziorem, by się wytarzały, a woje, pożywiwszy się byle jak, walili się na spoczynek. Nawykli do szybkich pochodów, ale tak nie szli jeszcze nigdy.

Niejednemu z młodszych zdało się, że gdy przed świtem znowu wstawać przyjdzie, kości pozbierać nie wydoli, by je na konia załadować. Ale starsi zapewniali ich, że wojak wszystko może, co musi, za przykład stawiając samego księcia, który, nim spać się ułożył, obóz obszedł, a potem jeszcze od starszyny przyjmował sprawozdania o stanie powierzonych jej ludzi i koni. Odpadło nieco słabszych, ale niewiele, wojów zaś wszystkich trzymały na siodle jeśli nie siły, to wstyd przed drugimi do słabości się przyznać i nadzieja, że po wypoczynku raźniej się będą czuli. Ale i do rana nie wyleżeli, bo ziaęb brał przed świtem, tedy rozdmuchawszy przygasłe ogniska pożywiali się, mimo znużenia czekając niecierpliwie, by ruchem rozgrzać zdrętwiałe ciała.

Na szczęście słońce wzeszło pogodne, a w południe pocieplało tak, że niejeden rad wypluskał się w Warcie, którą pod Międzychodem wpływ przebyli. Zanurzyli się teraz w Notecką Puszczy, zrazu pagórkowatą i suchą, w miarę jednak jak zbliżali się do rzeki podmokłą i poprzerzynaną płynącymi do Noteci grzaskimi strumieniami. Większość wojów nie pierwszy raz miała ją przekroczyć, ale żółtodziobom tłukły się trochę serca, gdy słuchali opowiadań starszych rycerzy o męstwie i srogości pomorskich wojów. Mieli nadzieję zanocować w grodzie i wypocząć pod dachem, zawiedli się jednak, bo książę, który od przeprawy przez Wartę szedł na czele z Przedślawem, w głuchej puszczy kazał na noc stanąć i straże wystawić jak we wrogim kraju, ciszę zachowując. Dobrze, że ognie palić zezwolił, bo z bagien i rzeki wstała mgła, gęsta i przenikliwa. Tulił się każdy jak najbliżej płomienia, a od ogniska do ogniska człeka nie rozeznał, jeno cienie

olbrzymie tańczyły krzyżując się między sobą.

Choć drugi dzień nie mniej przyniósł trudu niż pierwszy, długo w noc woje gwarzyli przy ogniskach, bowiem ziąb i podniecenie usnąć nie pozwalały. Nowy dzień zobaczy ich już w nieprzyjacielskim kraju, gdzie tylko własne męstwo i przemyślność wodzów jedynym będą oparciem - a także wiara i pewność, że obskoczonego bez pomocy, a rannego bez osłony nie ostawią towarzysze. Gryźli się wprawdzie między sobą w spokojnym czasie, bitki też nie były rzadkie, ale w boju stawali wszyscy za jednego i jeden za wszystkich - jak pszczoły. Nigdzie też tak szybko i łatwo nie rodziła się przyjaźń, jak w ogniu walki, gdzie przechodziła swą próbę, by wyjść z niej zahartowana jak najprzedniejszy miecz.

A jednak trafiali się ludzie niezdolni siebie dla drugich poświęcić. Przedśław, pierwszy raz dowodząc swym hufcem, pilnie baczył nie tylko na rynsztunek i konie, ale przede wszystkim na ludzi, jak żeglarz, który przed niebezpieczną przeprawą przez burzliwe wody załogę swą poznać usiłuje, lub płatnerz, który bada żelazo, z którego miecz ma ukuć, czy skaży w nim nie ma.

I teraz, o szarym jeszcze świcie pierwszy przebywszy lodowatą wodę wezbranej Noteci, stał na brzegu i patrzył, jak przeprawia się oddział. Sprawnie szło. Ci, którzy konie mieli silniejsze, podtrzymywali z dwu stron towarzyszy, gdy ich rumaki zbyt głęboko się zanurzały. Wielki i ciężki Hugo Bukr, znając swą zbyt wielką dla konia wagę, gdy jeno ten stracił grunt pod nogami, zsunął się z siodła, choć kąpiel o jesiennym świcie nie była miłą, i płynął obok, trzymając się lęku. Za jego przykładem uczyniło to kilku innych, którzy konie mieli słabsze, a sami widno do cięższych należeli pływaków. Tylko Wszebor z braćmi zboczyli z szeregu, dbając jeno o to, by jak najmniej zamoczyć nogi w zimnej wodzie, i nie ruszył się żaden, by pomóc towarzyszom, nawet wtedy, gdy jednego woda znosić zaczęła. Ten nie krzyknął wprawdzie, choć fala kilkakroć przeszła mu przez głowę, bo księżę ciszę nakazał, ale widzieć musieli. Na szczęście sam dobił do brzegu o stajanie poniżej, gdzie mu pomogli wyciągnąć się towarzysze, którzy zdążyli się już przeprawić. Gdy niebezpieczeństwo minęło, śmiali się z jego przygody, ale Przedśław, choć nic nie rzekł, miał sobków na oku. Poprzednio już zauważył, że z sobą trzymali ślepo, dla innych jednak nieużyci, nie mieli u towarzyszy miru. Znak nosili Doliwów i powiadali się z Brodów na Mazowszu, ale kpiarz Bogusław drwił z nich, mówiąc, że choć brodów nie brak na rzekach, tych, z których oni się wołają, na żadnej nie masz. Nie zwykli przepuszczać urazy, że zaś chłopcy były tęgie, zostawiano ich w spokoju, a oni drużby nie szukali.

Przedśław za plewę ich miał; im prędzej ich wiatr odniesie, tym lepiej. Nic mu po ludziach, którzy o sobie myślą jeno. Nie patrzyło im się więc lekkie życie pod jego ręką.

Przeprawiwszy się ruszyli bezludnym borem wzdłuż rzeki Drawy, wciąż na północ się kierując.

Po uciążliwym pochodzie, gdy wielkie jezioro zagrodziło drogę, księżę zatrzymał wojska i zlecił Przedśławowi okolicę przepatrzeć, by osad uniknąć i nie zdradzić pochodu. Noc już zapadała, a choć dnia tego szli nieco wolniej, ludzie i konie pomęczeni byli i każdy rad zabierał się do posiłku i odpoczynku. Mimo to, gdy Przedśław wojów na podjazd wywoływał, zgłaszali się z ochotą, bo ciekawość i chęć przygód od znużenia były silniejsze. Wszebor z braćmi natomiast szalas sobie stawiali przygotowując na noc legowisko. Gdy ich wymienił, spojrzeli jeno jadowicie na dowódcę, a Wszebor, który zwykł był mówić za młodszych braci, odburknął:

- Stu innych macie. Nie woły my, byśmy sobą dniem i nocą orać zezwolili.

- A ja ci prawie, że pognam, gdzie moja wola. Nie jeno orać, ale i zarznąć was - w moim ręku.

Wstawać albo wam nocleg na sośnie zgotować każę.

Nie podniósł nawet głosu, ale poznali, że przelewek nie ma. Zbierali się mrucząc pod nosem, a Przedślaw dorzucił:

- Nie wiem, pod kim raniej wojowaliście, bo coś niepewnie prawicie o sobie. Ale marnego jeźdźca poznać po znarowionym koniu. Ja i takiego ujeżdżę, choćbym miał dech z niego wyprzeć. Nie będziecie się pode mną pieścić.

Odwrócił się i dosiadł rumaka. Podjazd ruszył. Bracia człapali na końcu, szepcząc między sobą.

Kraj w górnym dorzeczu Iny i Drawy ludniejszy już był i niełatwe to było zadanie tak znaczne wojsko bez zwrócenia uwagi przeprowadzić. Znacznie przetrzebione lasy świeciły polanami, na których leżały uprawne pola, a nierzadko snuły się dymy osad. Ci jednak z Bolkowego wojska, którzy chodzili uprzednio na Białogród, znali okolicę i gdy po południu mgła nadeszła z powiewem z północy i otuliła kraj szarą zasłoną, książę, korzystając z niej, ruszył wojska. Ominąwszy od zachodu jezioro, opuścił bieg Drawy, która dotychczas służyła za przewodnika, i pociągnął wzdłuż pasma jezior, pagórkowatym krajem ku północy. Wypoczęte konie mimo ciemności szły zrazu bystro. O północy przeszli w górnym biegu niewielką rzeczulkę, Regę, nad którą książę stanął na wypoczynek, ale wkrótce znowu podniósł wojsko i zanurzyli się w bory, spłachciem nieprzerwanym ciągnące się niemal do samego morza.

Teraz posuwali się wolno, często las waląc przed sobą. Kto mógł, drzemał w siodle, budząc się co chwilę, gdy go mokra gałąź smagnęła po twarzy lub znużony koń potknął się o korzenie. Na szczęście pocięła. Nim jednak noc zbladła, mgła poszła w górę, niebo zasnuło się jednostajną oponą chmur i mżyc zaczęło. Szare światło zapłakanego poranka oświetliło twarze pobladłe ze zmęczenia i bezsenności. Wreszcie od księcia, idącego z przednią strażą, nadbiegł goniec z rozkazem zatrzymania się na dłuższy postój i zezwoleniem na rozniecenie ognia.

Skorzystaliby z tego woje skwapliwie, bo dla nikogo tajne już nie było, że zbliżają się do celu i nie prędzej jak po bitwie skosztują ciepłej strawy i wysuszą nawilgłą odzież. Radzi byli rozgrzać się od ognia, nim rozgrzeje ich walka, po której niejedni ostygnie na zawsze. Ale nie o tym rozmyślali, jeno że im pierwszym od trzech pokoleń przyjdzie znów zobaczyć morze, drogę we świat, źródło potęgi i bogactw, o jakich opowiadali młodym starzy bywalce. Nie wszyscy rozumieli rzuconą przez Mieszka i Chrobrego myśl, ale czuli, że nie o zwykłe zdobywanie grodu idzie.

Tylko Przedślaw nie dzielił powszechnego podniecenia. Siedział milczący i wpatrzony w ognisko, którego płomień więziły oczy, a trzaskanie głowni czyniło uszy głuchymi na gwar obozu. Myśl jego z dziwnym uporem wracała do domu, który z dobrej woli porzucił dla walki z wrogiem. A teraz miast o walce myśleć, myślał o domu. Bitew miał za sobą więcej, niżby zliczyć potrafił. Nic nowego mu nie przyniosą, chyba śmierć. Nie bał się jej, nie życia żał mu było, jeno miękkiej i słabowitej żony, która bez opieki zostanie z dwojgiem małych dzieci. Ogarniał go obezwładniający smutek, tak że nie chciało mu się ręką sięgnąć, by dorzucić suszu do ognia, i patrzył nieruchomymi oczyma na dogasający płomień, który mu na myśl przywodził domowe ognisko. Nie wiedział jednak, czy ogień zgasł prędzej, czy zamknęły się oczy do snu bez marzeń.

Zbudziła go krętanina w obozie. Przeciągnął zdrętwiałe kości i poszedł opatrzeć swój hufiec. Spokojny był jak zwykle, jeno trud nie wyszedł z kości. Wojna jest dla młodych, a on młodość miał już za sobą.

Piątego dnia pochodu, doszedłszy nad ranem do krańca borów, od których otwierał się widok na morze, Bolko zatrzymał wojska opodal przepadlistych brzegów Czarnego Jeziora, stanowiącego zbiornik lewobrzeżnych rozlewisk i bagien Prośnicy. Spocząć zezwolił, jeno zlecił ciszę i zakazał

palenia ognisk. Obóz rozbiwszy w głębi, sam stanął na skraju lasu, skąd widok był rozległy, i natychmiast starszyznę zwołał na naradę. Poza sędziwym palatynem Awdańcem, szpakowatym już Przedstawem Łabędziem i Żegotą Zaprzańcem - wszystko to byli ludzie w pełni sił. Ale na twarzach przybladłych i ściągniętych poznać było trudy długiego i uciążliwego pochodu. Sam jeno Bolko pozór miał, jakby tylko co powstał z puchowego łoża. Młodzieńczą, z sypiącym się dopiero zarostem twarz zarumienił mu ruch wśród chłodu, a w ciemnoszarych oczach świeciło podniecenie i chęć czynu. Pożywiał się stojąc przed szałasem, ale gdy wezwani nadeszli, zostawił nie dojedzoną strawę i otarłszy wierzchem dłoni usta, rozpoczął:

- Otośmy doszli. Tuszę, że nijaka wieść o naszym pochodzie nie dobiegła przed nami do grodu, bobyśmy już pomiarkowali. Ale tym pilniej baczyć musicie, by się teraz nie zwiedzieli, gdy prawie na oczach stoimy. By mi się nikt na skraju lasu nie kręcił, zaś strażom nakazać, kogo by dojrzeli, męża czy niewiastę, zaraz połonić i w więzach na oku trzymać. Kto nie posłuchnie, gardło da, wiedzieć to mają wszyscy.

Przerwał i patrzył na wyłaniający się już z mgły porannej gród. Wskazując nań, ciągnął:

- Radziliśmy z Michałem i Skarbimirem, czy uderzyć z północy, most u zbiegu ramion rzeki z nagła naskoczywszy. Tak by najłacniej było przez wezbrane wody przejść. Jeno że stamtąd do grodu stają kilka i nim dobiegniemy, gród przestrzeżony być może, a zbyt mało nas, by brać go obleźniczą sztuką, ni czasu na budowę machin nie starczy. Tedy jedno ostało: nocą przeszedłszy bagna i rzekę, przed świtaniem uderzyć, mosty do grodu wiodące ubiec, nim się opatrzą, i na nic nie zważając, a zwłaszcza łupem ni brańcami się nie bawiąc, bramy łamać, póki kłodami a kamieniami zawalić nie wydadzą.

Patrzył po starszyźnie, jakby się namyślając, komu jakie powierzyć zadanie. Zwracając się do Przedstawy rzekł:

- W przodku pójdziecie. Przeprowadźcie się wpływ powyżej grodu i uderzcie na południową bramę. Ja zaś przez most na zachodnią. Kto się prędzej do grodu wedrze, ku drugiemu ma przecć, by się darmo nie krwawić pod bramami. Drugi huf - ciągnął zwracając się do Skarbimira - wy powiedziecie. Przeprowadźcie się gród obejść od wschodu, na skraju lasu się przytaić i czekać, póki my bram nie przełamiemy lub na rozkaz. Zaś wy - zwrócił się do Żelysława - ku drodze na Białogród się podsuniecie pilnować, by stamtąd Pomorcom nie nadeszła pomoc i nie zaskoczyła nas od pleców. Dopiero gdy pomiar kujecie, żeśmy już gród wzięli, podgrodzia zająć i jeńca brać. Teraz zaś każdy pewnych a obrotnych ludzi wyśle, przejścia przez bagna wybadać, byśmy ich o ćmie nie szukali... A potem spać, bo o pierwszych kurach ruszamy.

Cisza zapanowała w obozie, bo woje, pożywiwszy się, na spoczynek się układli, wiedząc, że skończy się z zapadnięciem zmroku, a nieprędko znowu odpoczną. Czuwały jeno strażę, które książę sam obszedł, po czym skierował się do szałasów. Nie czuł znużenia i nie zdało mu się, by zasnąć mógł przed bitwą, ale rozsądek nakazywał spocząć.

Gdy zbliżył się, postłyszał przyciszony śpiew. Przed szałasem, na stercie naciętych gałęzi szpilkowych, siedział Bogusław i czyszcząc Bolkową zbroję, nucił półgłosem:

*Nosili nam ryby cuchnące i słone,
My sami przychodzimy po świeże w tę stronę.
Ojciec jeno grodów radzi dobywali,
Nas burze nie straszą i szum morskiej fali.*

Ojcom było zadość jeleń, dzik czy koza,

*My skarby i stwory wylawiamy z morza. [*przekład autora z kroniki Galla]*

Bolesław zmarszczył gładkie czoło, ale zaraz uśmiechnął się i przystępując do Bogusława, powiedział:

- Nie wiesz, iżem ciszę pod gardłem nakazał?

- Wždy cicho nucę - odparł Bogusław, podnosząc na księcia swe lśniące oczy.

- A zaś co nucisz? - zapytał Bolesław siadając na pieńku przy wejściu. - Chwalbę piejesz, jakobyś ryby przed niewodem łowił?

- Przecieżeśmy przyszli. I ostaniem.

- Ostaniem - potwierdził książę. - Nie darmo ci z przodków, którzy wielkość i siłę w sobie czuli, garnęli się ku morzu. Ale najtrudniejsze jeszcze przed nami.

- Wždy łatwiej bić się, niż lasy walić i przez bagna się drzeć.

Wskazując zaś ręką na widoczną z dala wypukłość morskiego widnokręgu, ciągnął:

- Bezmiar ci to jest. Ostaniemy, to ani chybi za morze powędrujem. Korabiami popłyniemy na kraj świata. Rad bym go obaczyć.

- Ninie myślmymy o tym, co jutro - odparł książę.

- Wždyśmy młodzi. Życie jutro się nie kończy. A myślę i o jutrze; obaczcie, jakem wam pięknie zbroję wyczyścił, co zardzewiała od wilgotności. Będziecie w niej świecić jak samo słońce.

- By mnie łacniej popaść było! - zaśmiał się książę. - Nie bój się! Niejednemu się jutro życie skończy.

- Nie boję się. Nie taka to zbroja, by grot puściła. W takiej to świat zdobyć można.

- Dobądźmy jeno grodu. A teraz spać!

Bogusław pomógł księciu ściągnąć namokłe ciżmy i okrył leżącego skórą. Książę uśmiechnął się do niego, a Bogusław oddał uśmiech poufale i wesoło. Znali się przecie od dzieciennych lat, zdało im się, że strasznie dawno. Nie pierwszą wyprawę odbywali razem, a pewnośc Bogusława, że nie ostatnią, była nie do przełamania. Dlatego za nic miał wszelkie niebezpieczeństwa. Usiadł przy wejściu do szałasu i nie bacząc na przestrogę księcia, jał dalej układać sobie pieśń o jutrzejszym zwycięstwie. Gdy ułożył następną zwrotkę, chciał ją zanucić Bolkowi, ale spojrzawszy nań, powściągnął chęć; książę spał już, szeroka pierś podnosiła się równym i głębokim oddechem. Spał spokojnie, jak na swym zamku w Krakowie, i uśmiechał się przez sen. I Bogusław uśmiechnął się. Cieszył się na jutrzejszą walkę jak dziecko na zabawę. Odszedł cicho i ułożywszy się obmyślał swą pieśń. Ale nim skończył, pieśń zmieszała się z marzeniami. Usnął.

Przedśław natomiast długo nie mógł zasnąć. Dienne światło raziło oczy przez zamknięte powieki, posłanie z sosnowych gałęzi uwierało. Powierzone mu zadanie pogłaskało jego dumę. Wśród tylu doświadczonych wodzów książę sobie i jemu pozostawił najważniejszą część przedsięwzięcia, ale też Przedśław godnym okazać się musi położonego w nim zaufania. Jednego po drugim przechodził w myślach swych ludzi, od których w znacznej mierze to zawisło. Pierwszy raz miał ich prowadzić do walki.

Znał się na wojnie i wojakach. Tchórzów w jego hufie nie było. Do karności wdroyć ich już zdołał w czasie ciężkiej przeprawy. Wszystko chłopcy tęgie, zżyte i obyte z wojną. Jak ognisty rumak, który gdy twardą rękę wprawnego jeźdźca poczuje, myśli jego zdaje się zgadywać, tak oddział posłuszny był skinieniu dowódcy.

Zatrzymał się myślą przy Doliwach. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zostawić ich przy koniach, ale postanowił mieć ich na oku. Wciąż jeszcze niezbyt im ufał, mimo że od chybionej próby wyłamania się z posłuszeństwa chodzili mu w rękę jak miecz. Nie spotkał się więcej z oporem, choć nieraz jeszcze im dopiekl. Widno nagiął ich do swej woli.

Przedślaw uspokoił się. Nie pierwszy raz ma brać udział w oblężeniu i zdobywaniu grodu. Najważniejsze to zaskoczenie i szybkość działania. Do długiego oblegania odnosił się z niechęcią. Jeżeli zamknięci w grodzie serca nie tracą, mogą się opierać nawet wielkiej przewadze, a straty napastników zawsze są większe, bo nic nie pomoże, ni największe męstwo, ni najlepsza zbroja przeciw płonącej smole czy nabitej gwoździami kłodzie, którą cisną z murów. Przedślaw myślą przechodził oblężenia, które już miał za sobą: w Czechach, na Węgrzech, w Niemczech. Nie było w wojsku nikogo, kto by mu doświadczeniem dorównał. Dlatego też jego księżę wybrał.

Znużony zasnął wreszcie, ale sen miał ciężki i niespokojny. Śniło mu się, że stoi nad czarną wodą, jakby Prośnicy. Wparł w nią opierającego się konia i, płynąc, ze zdumieniem patrzył, jak na przeciwległym brzegu zapada ciemność. Stłumił budzący się lęk i dotarwszy do brzegu rozejrzał się. Nie było przy nim nikogo, nawet koń gdzieś zniknął, jeno skądś z dala dochodził dziecięcy płacz. Ogarnęło go nagle przerażenie. Chciał się rzucić do ucieczki, ale jedna noga była jak z drewna; przewrócił się i w tej chwili ocknął spotniały.

Nogi nie czuł istotnie, bo zdrętwiała mu w niewygodnym położeniu. Rozcierał ją, aż poczuł, jak gdyby kłuło go po niej tysiące mrówek.

- Starzeję się - mruknął do siebie.

Dawniej mógł spać i na kupie kamieni, a budził się rześki i wypoczęty. Ułożył się znowu, jak się dało najwygodniej, i spał już bez marzeń, aż poczuł, że ktoś nad nim stoi.

- Wstawajcie! Ruszamy! - powiedział wojak.

Przedślaw otworzył oczy. Noc już była, jeno z głębi lasu przebijało niepewne światełko. Kapelan książe, Radost z Przeniesławia, w narzuconym już na zbroję ornacie gotował się odprawić mszę. Wystawiono szalą nad ściętym pniakiem starej sosny. Na pniaku kapelan położył relikwiarz z kością świętego Idziego, do którego księżę szczególne żywił nabożeństwo, za jego bowiem wstawiennictwem przyszedł na świat. Chybotliwe światło płomieni dwóch świec wydobywało z cienia postać kapelana i niepewnymi zarysami znaczyło krąg zgromadzonej przy ołtarzu, z księciem na czele, starszyny. Dokoła rozlegał się szmer niewidocznego w mrokach tłumu, który ścichł jednak.

Skończywszy mszę, kapelan pobłogosławił wtopionych w ciemność wojów, udzielając im rozgrzeszenia jak idącym na śmierć, monstrancją przeżegnał klęczących i zszedł z podwyższenia, a na jego miejsce wstąpił księżę. Przez chwilę wodził oczyma, jakby nie tylko ciemność, ale każdego z wojów chciał przeniknąć, a w ciszy nocnej rozległ się jego dźwięczny i donośny, młodzieńczy głos:

- Gdybym nie znał waszego męstwa i odwagi, nie śmiałbym się aż tu nad morze zapuścić z taką garścią, gdy ucieczka daleka, nieprzyjaciel z tyłu, a od swoich w kraju żadnej spodziewać się nie możemy pomocy. Tedy w orężu naszym jeno ufność pokładajmy!

Ruchem ręki uśmierzywszy powstający szmer, rozkazał:

- Na koń!

Za kilka pacierzy długi łańcuch cieni wypełznął z lasu i przebrnąwszy strugę o bagnistych brzegach, sunął przez podmokłe łąki porośnięte kępami krzewiny. Słychać było tylko chłopot nóg końskich w kałużach i mlaskanie błota, w które zapadały powyżej pęcin; czasem zachrząściło żelazo lub z krzykiem zerwał się spłoszony ze snu ptak.

Książę nakazał zsiąść z koni i prowadzić je przy pyskach, by nie rżały; szli w milczeniu, jeno idący na przdzie wraz z przewodnikami i Przedstawem książę szeptał coś chwilami, wskazując na gasnące jedno po drugim światełka, które znaczyły gród. W miarę jednak jak się zbliżali, ubywało świateł, a potem wstający z bagien opar zasłonił okolicę.

Noc jeszcze była głęboka, gdy - przebywszy następną strugę - wydostali się na suchy łęg i wkrótce dotarli do gościńca przecinającego wojsku drogę. Tu książę zatrzymał pochód, by wydać ostatnie rozkazy, bo miały się teraz rozdzielić ich drogi. Bolkowa drużyna oddała konie Przedstawowym. Dwa stajania dzieliły ją jeno od mostu na rzece poniżej przystani, na który miał Bolko uderzyć, ale jeszcze jeden bagnisty strumień przebyć trzeba było. Reszta wojska natychmiast wykręciła na południe, by w bezpiecznej odległości od grodu przebyć rzekę wpływ. Porę uderzenia ustalił książę: gdy pojaśnieje na tyle, że na rzut kamienia człeka rozeznac będzie można.

Kiedy umilkł szmer odchodzących, Bolko zebrał ludzi i, nie śpiesząc się, zmierzał w kierunku mostu. Zmoczyli się po pas, przechodząc strumień o mulistym dnie, i stanęli. Noc jeszcze ciemna była, ale chłodny powiew przedświtu zganiał tuman i z ciemności wyłaniała się rzeczna płaszczyzna, jaśniejąca odbiciem zaczynającego szarzyć nieba. U rozwidlenia przecinała ją ciemniejsza smuga mostu, za którym, na tle blednącego widnokręgu, rysowała się niepewnie ciemna masa grodu. Zaczynał się przedświt.

Woje zbili się w gromadę. W ciszy, jaka zapanowała, wyraźnie słychać było, jak kłapią z chłodu zębami. Tylko książę stał na uboczu z Bogusławem, patrząc poprzez przecierający się mrok na zarysy wałów i baszt. Bogusław wiercił się niecierpliwie, aż go książę uspokajać musiał, lecz nie na długo pomagało. Bogusław szczekał zębami, ale zarazem śmiał się z podniecenia, gębę zatykając ręką. Znowu zaczął szeptać:

- Może już? Wždy jasno.
- Przestań, jucho, bo po łbie dam. Gdzie zaś jasno!
- A owo człeka widać - Bogusław wskazał na jakąś ciemniejszą plamę.
- Nie człek, jeno kierz.
- A za nim człek. Sam widziałem, jak tam szedł.

Bolko zamachnął się ręką, ale Bogusław uskoczył, obiema rękami tłumiąc śmiech. Za chwilę przysunął się znowu.

- Cni się tak stać. Chcecie posłuchać, jaką pieśń ułożyłem?
- O naszym jutrzejszym zwycięstwie? Jeszcze je zakracesz.
- Nie o jutrzejszym, jeno o dzisiejszym. Wždy dnieje już. A zaśbym zakrakał, kiedym nie kruk.

Matusz zawždy mawiała, że nucę jako skowronek, one zaś przed świtaniem zaczynają.

- Jeno nie w jesieni. Tedy albo gębę stulisz, albo ci ją zawiązać każe;. Zaś po bitce pogadamy - rzekł Bolesław groźnie.

- Daj Boże! - odparł Bogusław, a książę omal nie parsknął śmiechem. Nijak się było gniewać na wesołka.

Nie czas był już zresztą; dniało istotnie. Nieboskłon na wschodzie wyraźnie pojaśniał, choć dzień zapowiadał się chmurny, najbliższe przedmioty zaczynały nabierać barw. Od niedalekiej przystani doszły pierwsze odgłosy wszczynającego się ruchu. Czas!

Bolko zwrócił się do swych ludzi. Przez chwilę walczył z podnieceniem, by głos uczynić spokojnym:

- Każdemu dziś dane wykazać, że godzien być w naszej przybocznej drużynie, która sercem jest

naszego wojska. Zaś pierwszym z pierwszych będzie ten, kto pierwszy bramy dopadnie. Prócz chwały i nagród, które są mężnych udziałem, pas i ostrogi zyszcze, jeśli ich nie ma jeszcze.

- To ja! - krzyknął Bogusław i pędem puścił się ku mostowi. Nie było co począć z szaleńcem.

- Za mną! - zawołał książę.

Tłum wojów runął na drogę i wtoczył się na most, który zadudnił przeciągłym grzmotem. Nim jednak dobiegli, uszu ich doszła odległa wrzawa, która wzmagala się, obejmując jak płomień cały gród, podgrodzia i przystań. Przedślaw już musiał nastąpić.

III U CELU

Miasto było spokojne. Jesień jest porą połowu śledzi, głównego przedmiotu handlu kupców kołobrzeskich, i tym jeno myśli ich były zajęte. Troska o bezpieczeństwo jest rzeczą księcia i jego wojów. Na to przecie szły dziesięciny z połowów, salin, karczem, mostowe i opłaty za spław. Chociaż mieszczanie płacili niechętnie, uważając, że tak jak Wolin bez książąt potrafią się rządzić. Niezłe, choć doraźne dochody miewał także książę w burzliwym jesiennym czasie, gdy obcy statek rozbił się u brzegów. Mienie rozbitków zabierał, ich samych sprzedając w niewolę. Teraz jednak i sam książę Swatobor [* książę zachodniopomorski; szwagier Bolesława Krzywoustego.] śledziami miał głowę zaprzątniętą, bo był to czas, gdy srebrem i cennymi towarami wypełniały się komory książęce, a napaści nie było się skąd spodziewać. Z Normanami żyli kołobrzeżanie w zgodzie, prowadząc ożywiony handel, a nieprzyjaciołom od strony lądu zewsząd było do grodu daleko.

Zapach ryb unosił się nad całą okolicą, a szczególnie nad rybacką osadą położoną na prawym brzegu Prośnicy, tuż koło ujścia rzeki do morza, Ujściem też zwaną. Dostarczała ona wielkiej obfitości śledzi, sól zaś dawały liczne warzelnie, zbudowane nad słonymi źródłami powyżej osady i na ostrowiu rzeczonym, zwanym Słoną Górą.

Było to jeno nieznaczne wzniesienie, przechodzące na oba brzegi rzeki, która toczyła swe spokojne, czarne, zda się, bezdenne wody przez torfiaste, urodzajne podłoże dawnych lesisk. Samo miasto, wbrew swej nazwie, leżało o dobre dziesięć stajañ od morskiego wybrzeża. Od zachodu przylegało do rzeki w miejscu, gdzie rozwidła się na dwa ramiona; lewe zwano Rowem Drzewnym, służyło bowiem do spławu drzewa, którego ogromne ilości chłoneły warzelnie, gdyż na jeden war potrzeba było sześciu dużych wozów drzewa. Lasów jednak nie brakło, choć odsunęły się już od miasta, a sól była pożądanym towarem, który chętnie nabywały ubogie w nią Prusy, Dania, Szwecja i Norwegia. Była też niezbędną zaprawą do śledzi, a przede wszystkim przez wieki pełniła w postaci grudek, czyli krusz, rolę pieniądza bardziej poszukiwanego niż srebrny, którego wagę i próbę wciąż obniżano. Dlatego też kołobrzeżanie czcili źródła jako święte, uważając je za dar bogów, którym przez wdzięczność dochowywali wiary, broniąc się przed napierającym zewsząd chrześcijaństwem, niebacznymi, że zbyt słabi są, by samodzielnie byt utrzymać. Za Chrobrego biskup Reinbern ochrzcił wprawdzie nie tylko ludzi, ale i morze - wlewając w nie święconą wodę i wrzucając namaszczone chryzmem cztery kamienie - ale kołobrzeżanie śmieli się z tego: co tam trochę wody i cztery kamienie wobec tych głębin i bezkresnych obszarów! Po staremu starym bogom składali ofiary za pomyślne połowy dokonywane nie tylko na przybrzeżnych ławicach, ale i na Odrzańskiej, a nawet na Bornholmskiej - za wyprawy kupieckie, w których zachodzili aż do duńskiego Hajthabu, szwedzkiej Sigtuny i ruskiego Nowogrodu. Przy ujściu Prośnicy roiło się zawsze od statków, a strzegły go ziemne obwarowania, ostrożność bowiem nigdy nie zawadzi. Głównym natomiast stróżem bogactw, które gromadziła ruchliwa i przedsiębiorcza ludność, był gród. Niespełna dziesięć łokci wysokie, ale strome płaskowzgórze obwarowali sztuką, której się od Lutyków wyuczili: szeroki i głęboki na kilka łokci rów prowadził dokoła wzgórza wody Prośnicy, a skraj jego podwyższono ziemnym wałem,

umocnionym palami i najeżonym częstokołem. Dostępu przez trzy mosty, wiodące z podgrodzia do grodu, strzegły drewniane wieże z blankami, zza których można było razić następującego nieprzyjaciela.

Od południowego zachodu przytuliło się do grodu obszerne podgrodzie gromadząc ludzi i bogactwa, dla których miejsca brakło w obwarowaniach. W zasięgu obrony leżała przystań nad rzeką, z pomostami do ładowania towarów i warsztatami biegłych cieśli, wyrabiających wszelkiego rodzaju korabie. Koło niej piętrzyły się na brzegu całe góry beczek, które osiedli tam bednarze pracownicy gromadzili na jesienną porę połowu śledzi. Mimo to nie starczało ich nigdy i nadmiar połowu szedł do suszarni, których dymy wraz z wonią ryb jak mgła tygodniami stały nad miastem.

Sól i ryby nie były jednak wyłącznym źródłem bogactw. Nieprzebrane bory dostarczały mięsa, miodu, wosku, skór i futer, których pełne były składy w oczekiwaniu targu, by wymienić je na towar przywożony przez bliższych i dalszych sąsiadów, a nieraz nawet bizantyjskich czy arabskich kupców. Nabywano żelazo, miedź, ołów, broń gotową, różne tkaniny, wyroby ze złota i srebra, wino, korzenie i inne zbytki, na które stać było zamożnych mieszczan.

Od krewniaków jeno i znajomków, przyjeżdżających na targi z dalszych okolic, dochodziły wieści o walkach na polskiej granicy. Najstarsi z nich od dziadów swych słyszeli, że za ich młodości wielki Mieszko złączył Pomorze z resztą ziem lechickich, ubiegając zakusy Duńczyków i północnych margrafów, sami zaś pamiętali, że nie było między Pomorzem i resztą Polski innej niż bory nadnoteckie granicy. Oderwali się, bo prosty naród do pogaństwa był przywiązany, a z wielmożów każdy wolał sobie panem być, niż słuchać. Opór zaś, jaki połabscy Słowianie stawiali Niemcom, pozwalał tymczasem nie myśleć o nadciągającym od zachodu niebezpieczeństwie. Żyli sobie tedy beztrąsko, bogacąc się na pośrednictwie w handlu z zamorskimi krajami lub ciągnąc zyski z sąsiedzkich zamieszek, w rabunkowych najazdach zapuszczając się coraz dalej w głąb Wielkopolski i Kujaw. Sieciech w swych odwetowych wyprawach pogłębił jeno rozdział zdzierstwem i okrucieństwem, toteż gdy Zbigniew szukał pomocy przeciw ojcu i palatynowi, znalazł w Pomorcach chętnych sojuszników. Zawarte wówczas przymierze odnowił teraz przeciw bratu i przepuszczał przez swoje ziemie pomorskie wypady na dzielnicę Bolka, a ostrzegał Pomorców o jego uderzeniach. Dlatego Bolesław dał pozór, że na Borzywoja [* księżę czeski z rodu Przemyślidów, sprawujący władzę w latach 1100-1107. Jego bratanek, księżę Świętopelk, panujący na Morawach, stoczył z nim zwycięską walkę o tron] ruszyć zamierza, by pomścić napaść na Rzeczybę. Nikt nie mógł przypuścić, by ze szczupłymi siłami tak daleko w głąb wrogiego kraju ważył się wtargnąć.

Księżę Swatobor spokojnie też z okien swego zameczku patrzył na rzekę rojącą się od tratw oraz statków wszelkiego rodzaju. Mało gdzie pusty splacheć wody był widoczny. Znaczna część płynących nią bogactw wpłynie w końcu do jego skarbcza i komór. Będzie za co uzbroić wojów na wyprawę do Polski, gdy zima zetnie bagna, a hulające wichry wstrzymają żeglugę na burzliwym morzu. Teraz nie miał czasu myśli temu poświęcać ni możliwości odrywać ludzi od zyskownych zajęć. Nawet woje z załogi grodu zajęci byli śledziami, służbę dla nich zaniedbując. Ale śledzie czekać nie mogą. Ciepło jeszcze, a ryba psuje się szybko, zaś rok był szczególnie w połowy obfity.

Choć niewysoki był zamek, a wzgórze, na którym stał, niezbyt było wyniosłe, przecie w płaskiej jak stół okolicy wzrok Swatobora leciał daleko: na północ - aż do szarej, jednostajnej płaszczyzny morza, na zachód - za grzędawiska Prośnicy, do czarnej linii borów na widnokręgu. Bagna i woda wraz z wezbraną od jesiennych przyborów rzeką skuteczniej niż wszelkie obwarowania broniły dostępu do grodu, choć nie było przed kim. Swatobor patrzył, aż szary mrok zamazał daleki widok, a

na przystani jedno za drugim jak świętojańskie robaczki zapalały się światełka, których odbicia drgały na ciemnej płaszczyźnie wody. Świecić tak będą późno w noc, bo czas jest gorący, rozpoczęta robota czekać nie może, a zabieglivi kupcy i rzemieślnicy nie żałują trudu, by wyciągnąć jak najwięcej korzyści. Książę jednak ułożył się na spoczynek. Inni czuwali za niego i dla niego.

Przedśław, przeprawivszy się przez tajemniczą głębię Prośnicy, przed którą, jak w dzisiejszym śnie, rumak jego cofał się i boczył, oddzielił się wraz ze swym oddziałem od reszty wojska, konie zostawivszy przy hufcu Żelisława. Z nie znanym sobie uczuciem obejrzał się na swego podpalanego siwka. Niemało bojów razem zwiedli, nie zawiódł nigdy. I wierny koń obejrzał się za swym panem, jakby zdziwiony, że bez niego rusza do bitwy, ale zaraz jasna plama jego sierści rozmazała się w mroku, a nie czas było o koniu myśleć.

Zadanie powierzone Przedśławowi nie było łatwe. Trzeba mu podejść jak najbliżej grodu, by w porę uderzyć, zaś od południa podgrodzie było rozległe i zabudowane dość gęsto. Noc wprawdzie panowała jeszcze, ale w gorącym czasie połowów ruch musiał zaczynać się przed świtem. Trudno się ukryć z tak wielką gromadą ludzi, a jeśli przedwcześnie walka się zacznie, przedsięwzięcie chybi.

Doświadczenie jednak nauczyło Przedśława, że na wojnie wahanie najgorsze. Postanowił ciągnąć pod bramę bezzwłocznie, resztę zdając na doświadczenie własne i ludzi, którym przewodził. Nie pierwszy raz szli do bitwy. Poznać to można było, gdy ruszyli płaskim podmokłym brzegiem w dół rzeki. Szli łozami cicho jak wilki. Nie zadźwięczało żelazo, nie zaszeleściła trącona gałązka. O kilkadziesiąt kroków nikt by nie pomiarkował, że ciągnie ponad setkę ludzi liczący oddział wojska i zbliża się do śpiącego twardym snem, nic nie przeczuwającego grodu.

Nad rzeką zabudowania rozsypały się szeroko i wkrótce idący skręcić musieli na wschód, by jak najdłużej unikać ludzkich siedzib. Szli teraz otwartą przestrzenią, niemal oddech wstrzymując. Na szczęście mgła tłumiła wszelki głos i osłaniała ich przed niepowołanymi oczyma, ale też można było w niej niespodziewanie natknąć się na kogoś. Na ten wypadek Przedśław nakazał ubić bez hałasu każdego spotkanego człeka.

Coraz to spozierał na niebo, czy już nie blednie. Szli niezmiernie wolno. Gdy byli już o pół stajania od pierwszych budynków podgrodzia, Przedśław polecił ludziom położyć się, dwóch zaś wysłał przodem, by drogę w nieznannej miejscowości zbadali. Nie wątpił wprawdzie, że gościniec, wzdłuż którego się posuwali, prowadzi do bramy, w ciemności jednak mogły czyhać niespodzianki.

Przemoknięci woje drżeli z zimna. I Przedśław rad był zacząć jak najprędzej, ale cierpliwy był. Stał czujny jak żuraw, z nogi na nogę przestępując, i wyteżał oczy, wypatrując wysłanych na zwiady ludzi. Po dłuższej chwili zamajaczyły w mroku dwie postacie i Przedśław szeptem wypytał wracających o położenie. Gościniec opodal rozdwajał się - ani chybi prawe ramię wiodło ku wschodniej, lewe - ku południowej bramie. Od strony grodu jakby ruch jakiś słyhać było; podgrodzia spały jeszcze.

Przedśław znowu spojrział na niebo: szarzało. Dziesiątnikom wydał ostatnie rozkazy: ciszę zachować, póki się Ha nawet ptlv walka iuż sie rozpocznie: do drodze nie zatrzymywać się z żadnego powodu, jeno przec ku południowej bramie, kupy się trzymając. Jeśli uda się ją przejść, bez żadnej zwłoki zmierzać ku zachodniej, by się z książęcym oddziałem połączyć lub pomóc mu w wywalczeniu wejścia. Zaś póki się walka nie skończy, jeńcami ni łupem się nie bawić. Poza tym - głowa na karku, a oczy i uszy w głowie!

Ruszyli, teraz niemal się nie ukrywając, bo i nie było jak. Można by jeszcze czas jakiś iść

opłotkami domów stojących przy drodze, ale groziło to rozproszeniem oddziału, zresztą w obejściach dworaków i chat ruch musiał zaczynać się wcześniej niż na gościńcu.

Doszli do rozwidlenia drogi i skręcili w lewo. Zabudowania zaczynały być zwarte, ale już nie było daleko. O dobre strzelenie z łuku w szarym mroku przedświtę zamajaczyła przed nimi baszta nad bramą. Przez okna strzelnic migotały blednące światelka, kłócąc się ze wstającym dniem. Straż czuwała.

Droga przechodziła na nasyp, który urywał się pod bramą na głębokiej fosie. W prawo i w lewo nad nią szczyrzył zęby częstokół na niewysokim, ale stromym urwisku, na które trudno by się było wdrzeć bez drabin.

Przedśław zatrzymał ludzi. Dojść udało się niepostrzeżenie, ale każdej chwili straż mogła ich zauważyć, tymczasem napotkali pierwszą niespodziankę: zwodzony most, podniesiony w górę, zamykał dostęp do bramy.

Przedśław pożałował, że nie kazał naciąć pęków łoży. Teraz albo trzeba zacząć rąbać płoty i szopy, niewątpliwie już pod gradem pocisków, albo próbować dotrzeć do wschodniej bramy, zaś ani marzyć, by się to udało bez zwrócenia na siebie uwagi. Wstawał już dzień, odgłosy walki postawią całą obronę na nogi, o zaskoczeniu nie mogło być mowy, zaś Przedśław widział już, że tak obwarowanego grodu bez machin i dłuższego oblężenia nie wezmą.

Tę jednak chwilę niezwykłego u starego wojaka wahania los zdał się obracać na jego korzyść. W bramie posłyszał głosy i nagle most zaczął opadać. Teraz Przedśław nie namyślał się ani przez mgnienie oka. Nim most uderzył z hukiem o przyczółek, Przedśław gnał już ku niemu na czele swych ludzi po stromym podejździe, ile pary w płucach. Nie zaświstały jeszcze pierwsze groty, gdy już wpadł na most. Na baszcie i wałach rozległy się zmieszane okrzyki, wahające i niespokojne, ale już zahuczały ciosy toporów na dębowej, okutej żelazem bronie, którą rąbali jedni, gdy inni żgali przez kratę nadbiegających coraz liczniej obrońców.

Przedśław doskoczył do lin ciągnących most i przeciąwszy je mieczem unieruchomił go. Pozostało wyłamać bramę, i to szybko, bo wnęka bramy natłoczona już była załogą. Na wałach i baszcie zaroilo się od ludzi i z łuków szyc jęli do Przedśławowych, którzy nie dopchali się pod bramę. Z obu stron polala się pierwsza krew, na moście deski stawały się oślizłe od posoki, a coraz większa wrzawa biła w rozjaśniające się niebo.

Wyłamano wreszcie jeden krzyż kraty i przez powstały otwór przepychać się jęli napastnicy. Tłok we wnęce uczynił się taki, że walczone tylko pięściami i nożami. Wszczęty pod bramą krzyk rozlewał się jak fala powodzi, ogarniając cały gród i podgrodzia.

Przedśław przyskoczył do Hugona, który daremnie usiłował precisnąć swą ogromną postać przez zbyt ciasny otwór, i wrzasnął mu do ucha:

- Odstąp! Weź paru ludzi i gnaj do Żelisława powiedzieć, żeśmy już w grodzie!

Hugo wyciągnął się z otworu i rozgarniając tłoczących się towarzyszy, bez pośpiechu wycofał się z mostu, zaś w jego miejsce Przedśław precisnął się przez kratę, a za nim, kto wydażył. W tej chwili bowiem spuszczone z baszty belka spadła obalając kilku ludzi; reszta odskoczyła w samą porę, bo zaraz za belką wiadro płonącej smoły zalało przyczółek, parząc rannych i grożąc spalaniem mostu. Zrobił się zamęt. Jedni wyciągali rannych, ryczących nieludzkim głosem, inni tłumić zaczęli płomień. Kto jednak nie dopadł wnęki, zmuszony był się cofnąć, bo jedna za drugą lecieć zaczęły nabijane gwoździemi belki, głązy i inne pociski. Obrona zaczynała działać przecinając niemal na pół oddział Przedśława.

Odcięty jednak w bramie Przedśław ani się nie zmieszał, ani nie zawahał. Choć mógł jeszcze wycofać się, wiedział, że oznaczałoby to utratę przypadkowej korzyści i wypełnienie zadania czyniło wątpliwym. Skrzyknął tedy swoich i ławą uderzyli na obrońców, wypierając ich z wnętrza na plac przed bramą, gdzie uzyskawszy swobodę ruchów, jęli się mieczów, z wprawą siekąc i kłując przeciwników. Po krótkim oporze kto z obrońców nie został obalony, rzucił się do ucieczki, ale Przedśław wiedział, że przewaga jest chwilowa. Zewsząd słychać było głosy. rozkazów i tupot biegnących ludzi. Cały gród i podgrodzia były już na nogach. Jeszcze działało zaskoczenie, ale gdy Pomorzanie dojdą do sprawy, napastnicy znajdą się wobec przewagi, której żadną miarą nie podołają. Działać trzeba szybko.

Przedśław rzucił się w szerszą od innych ulicę, wiodącą na zachód ku widocznym już z dala, wyższym od innych, budynkom. Była to kącina i zameczek księcia, przylegający do zachodniej bramy. Choć w powszechnej wrzawie trudno było głosy rozeznąć, jasno się już uczyniło i Przedśław wiedział, że i Bolko musiał nastąpić. Jeśli się uda dotrzeć do zachodniej bramy i, zaskoczywszy obrońców od tyłu, drogę księciu otworzyć lub, jeśli już się wdarł, połączyć z jego drużyną, zdobycie grodu stałoby się pewne.

Ale już i gród, ochłonawszy z pierwszego przerażenia, ruszył do broni. Z otwartych okien i zza węglów leciały na biegnących pociski, na które nie czas było odpowiadać, bo cała nadzieja leżała w pośpiechu - Wpadłszy jednak na rynek Przedśław rozumiał zuchwalstwo swego przedsięwzięcia. Stojący już w szyku, silny zastęp pieszego ludu zagradał dalszą drogę. Przedśław zatrzymał się, by dać czas dobiec idącym w tyle i sprawić ludzi przed uderzeniem. Jeszcze piersi nie nabrały oddechu, gdy krzyknął:

- Za mną! - i pierwszy skoczył na nieprzyjaciela. Liczył, że się przebiję choćby z garścią ludzi, a tymczasem nastąpi Skarbimir lub sam książę przełamie obronę pod zachodnią bramą. O odwrocie nie czas było myśleć. Zwarli się i rynek wypełnił się wrzaskiem, szczękiem oręża i jękami rannych. Przedśławowi walczyli z wprawą i zajadłością, wiedząc, że do ocalenia bliżej, jeśli się przebiją, niż gdyby cofać się przyszło. Ale wiedzieli też, że ocaleje jeno ten, kto ustoi na nogach. Dlatego choć niejeden ociekał już krwią, nie cofnął się. Parli przed siebie. deptając po trupach wrogów i towarzyszy, zrazu pomału, lecz stale spychając Pomorzan ku wylotowi ulicy wiodącej do zachodniej bramy.

Gdy wcisnęli w nią nieprzyjaciół, szyk ich załamał się i rozparł na trzy części: skrzydła rozprysnęły się na boki, zaś środek, wparty w ulicę, pierzchnął. Polscy woje rzucili się w pościg, ale wstrzymał ich rozkaz Przedśława, który nie mógł pozwolić na rozproszenie garstki pozostałych mu ludzi. Trzeba było rannym choć upływ krwi zatamować, a wszystkim zezwolić na złapanie oddechu. W narożnym, większym od innych budynku spróbował bramy; zaparta była. Wskazując na nią, zakrzyknął:

- Wywalać!

Pod ciosami siekier i parciem potężnych barów ustąpiło jedno skrzydło bramy i woje wtłoczyli się do sieni wiodącej na przestrzał przez budynek. Łapiąc oddech, Przedśław stanął przy schodach, ale jego woje sami już czynili, co należało. Część rzuciła się obszukać budynek, widno nie zamieszkały, lecz na jakiś urząd przeznaczony. Jeno dwie izby na przyziemiu zdradzały, że mieszkańcy ich wynieśli się w pośpiechu, wyżka natomiast była pusta. Zaczęto znosić sprzęty, zawalając nimi bramę, opatrywać rannych i doprowadzać do ładu rysztynek. Niektórzy wypadli na tyły domu i gdy wkrótce wrócili, jeden z nich, zbliżywszy się do Przedśława, powiedział:

- Ponośmy w potrzasku. Wyjście jest jedno - z powrotem na rynek.

Przedśław, choć czerwone płachty latały mu jeszcze przed oczyma z wysiłku, poskoczył sam zobaczyć. Na podwórku stały jakieś szopy, niewielka przestrzeń zamknięta była ślepyimi ścianami sąsiednich budynków, tylko między narożnym a sąsiadującym z nim domem było wąskie przejście, przez które otwierał się widok na rynek i gromadzących się tam ludzi.

Przedśław się tym nie stropił. O ile trudno było wyjść, o tyle bronić się łatwo. Lada chwila powinien nadejść Skarbimir - od południowej bramy dochodziła silniejsza wrzawa, mimo panującego wszędzie gwaru. Stary wojak strapił się jeno, że księciu przeparcia bramy ułatwić nie wydolił. Ale może Bolko sam zdoła się wedrzeć, a wówczas Przedśław ze swymi na pomoc mu wyskoczy. Tymczasem postanowił trzymać się i łuczników wysłał do okien na wyżkę. Chwila wypoczynku zda się przed nową walką. Wszebora z braćmi ustawił, by pilnowali przejścia na rynek, i poszedł na górę, by rozejrzeć się w położeniu.

IV CHYBIONY TRUD

Swatobor spał twardo, ale zbudził się przed świtaniem. Obrócił się na drugi bok, rad jeszcze usnąć, ale myśl już zaczęła pracować. Co dziwne, nie nad czekającymi go z rana sprawami, lecz o wyprawie przeciw Bolkowi. Jeśli się Bolko umocni, skończą się rządy panków na Pomorzu i starych, wygodnych bogów; Swatobor wiedział o tym lepiej niż inni, bo bawił w Polsce i dobrze znał Bolesława. Trzeba tedy gotować się, póki czas.

Przewrócił się znowu na drugi bok, próbując, czyby jednak snu przywabić się nie dało, gdy nagle usiadł na łożu. Od niedalekiej bramy doszedł go pojedynczy, przeraźliwy okrzyk, ale zaraz zawtórowały mu inne, przechodząc we wrzawę nieustającą. Zerwał się i klasnął w dłonie, a do komornika, który wpadł, zakrzyknął:

- Co się tam wyrabia?! Straże wysłać i winnych sprowadzić do ukarania.

Wybił się jednak ze snu zupełnie i zawołał na szatnego, by mu ubrać się pomógł. Czekając niecierpliwiał się i zaczynał niepokoić. Gwar od bramy nie tylko nie ustawał, ale rósł coraz bardziej. Z sieni i podwórca dochodziły jakieś zmieszane głosy. Nie było już wątpliwości, że się biją, ale kto z kim?

Swatobor, coraz niespokojniejszy, sam zaczął się zbierać, gdy wpadł komornik z okrzykiem:

- Polscy woje pod bramą! Od białogrodzkiej też walkę słyszeć!

Swatobora aż podrzuciło. Wybiegł. Na dworze świtało. Hałas wzrastał się obejmując całe miasto, odgłosy walki zdały się przybliżać. Czoło Swatobora okrył zimny pot. Bolko! Ani chybi! Z nieba spadł?

Włosy zjeżyły się na głowie książątka na myśl, że może dostać się w ręce Bolka. Zostawiłby w nich co najmniej oczy, jeśli nie głowę, gdyż knowania ze Zbigniewem znane były Bolkowi. Drżącym głosem rozkazał wojowi ze straży:

- Przywołać Borchę!

- Pan Borcho już przy bramie, a ludzi z załogi gromadzić kazał przy radnym budynku - odparł zagadnięty wojak. Widząc zaś zmieszanie księcia, dodał: - Nie trwóźcie się, miłościwy panie. Pan Borcho nie pierwszy raz czyni z Polakami, a gród mocny jest.

Swatobor odetchnął. Borcho widocznie nie stracił głowy. Księżę nabrał zaufania do męstwa i doświadczenia dowódcy załogi grodu. Już zamierzał powrócić do siebie, gdy od strony rynku dojrzał pędzących w popłochu ludzi. Pierwszy, który dopadł, wołał:

- Polscy woje w grodzie! Uchodźcie, miłościwy panie!

- Bramy przełamali? - zapytał blednąc Swatobor.

- Od południa uderzyli i przez białogrodzką weszli - odparł zagadnięty. - Od koszalińskiej nic nie słyszeć.

Swatobor obejrzał się trwożliwie. Hałas przy zachodniej bramie wzrastał się jeszcze. Znowu stracił zaufanie we własne siły. Zdało mu się, że pętla zaciska się dokoła jego szyi i chwila jeszcze, a uciekać będzie za późno. Nic nie rzekłszy, wykręcił za węgiel swego zameczku ku północy. Wołał,

by w grodzie nie wiedziano, że uszedł, boby duch upadł w obronie. Pędził ścigany przez krzyki, a poganiany strachem. Dopadłszy przełazu ku rzece, obejrzał się, czy kto nie widzi, przesadził częstokół i zjechał po urwisku na brzeg. Wskoczył do jednej ze stojących tam łodzi i, zepchnąwszy ją na wodę, wiosłować ją gorliwie, jakby już ścigany.

Ale nie ścigał go nikt. Rzeka była pusta, bo przestrzeżeni wrzawą kupcy i rybacy pomiarkowali, że wre walka, i kto żył wycofał się ku Ujściu.

Swatobor dotarł tam wkrótce i wylądował w przystani koło rybackiej osady, w której roiło się od statków i ludzi, zbierających się do ucieczki na wypadek napaści. Na brzegu księżę dostrzegł znanego sobie kupca Wojana, który stał i patrzył spokojnie na przygotowania. Człek był śmiały, mówiono o nim, że nie gardzi rozbojem. Swatobor przywołał go:

- Polacy gród napadli. Od rzeki można by ich zaskoczyć. Zbierzcie co śmielszych ludzi i ku zachodniej bramie podpłyńcie. Łodzi Polacy nie mają, tedy wzięci z boku, od wody, nie ostoją się. Odpędzicie ich od bramy, sto marek srebra zapłacę.

Woj an zarobki z bitki wolał niż zyski z handlu. Były prędsze i większe. Wiedział też, gdzie szukać odpowiednich ludzi. W niedługi czas pod leniwy prąd Prośnicy wypłynęły barki napełnione zbrojnymi. Lewym ramieniem rzeki, by jak najdłużej ukryć się przed nieprzyjacielem, zbliżały się ku mostowi, przy którym krwawiła Bolkowa drużyna.

Dzień już był pełny i w jego świetle widać było rojących się na wale ludzi, którzy szyli z łuków w gęstwą Polaków kłębiącą się pod bramą. Z baszty nad nią leciały tramy i kamienie miążdząc leżących pod nią rannych i tworząc już stertę, która utrudniała dostęp. Zaskoczenie się nie powiodło, ale Bolko raz za razem nacierał, mając jeszcze nadzieję, że Przedstaw ze swymi wdarł się do grodu i od drugiej strony uderzy. Czas jednak płynął, a wśród piekielnego gwaru słychać było, jak Pomorzanie zawalają bramę od strony grodu gruzem i belkami, bystre zaś urwisko nie pozwalało spodziewać się, by bez sprzętu oblężniczego udało się wdrzeć na wały.

Bolko wycofał wreszcie ludzi spod bramy na ścieżkę biegnącą nad rzeką pod urwiskiem, które dawało ochronę od pocisków. Trzeba było znużonym ludziom chwili wytchnienia, nim przyjdzie do dalszej walki. Księżę wraz z palatynem Michałem przysiedli w zagłębieniu skarpy, nasłuchując odgłosów idących od grodu. W samym grodzie jakby cichły, natomiast wzmagął się wrzask na podgrodziach i przystani. Po chwili odezwał się Bolko:

- Co się tam dzieje?

- Syn mój musiał nastąpić - odparł Michał.

- Zdałoby się wiedzieć. Czas leci i darmo tu stać nie będziem.

- Ja skoczę obaczyć. Cni się tak siedzieć - wyrwał się stojący opodal Bogusław.

- Po to, by głowę stracić? Nie pójdziesz.

- Zwólcie mu iść - wtrącił palatyn. - Trzeba wiedzieć, co się wyrabia.

- Tedy weź paru ludzi, jeno wszelakiej bitki unikaj. Pomiarkujesz, jak jest, wracaj w tę porę.

Juści, że mi giem wrócę, bo pewnikiem znowu zaczniemy.

Zakreślił się i po chwili wraz z dwoma ludźmi przemykał się między wałem a rzeką, wąską ścieżką wiodącą ku przystani, z której dochodził gwar coraz to większy. Gdy dotarli do pierwszych budynków i ścieżka pod wałem skręciła w lewo, puścili się pędem ku rzece, by ujść z zasięgu pocisków. Dotarli szczęśliwie do pierwszej z krają szopy i Bogusław zajrzał do wnętrza. Była to wędzarnia, pełna gotowych już i przygotowanych do wędzenia śledzi, ale ludzi w niej nie naszli. Sąsiedni budynek - również pusty - był pracownią cieśli okrętowego. Widno odgłosy walki

wypłoszyły ludność. Natomiast gdy Bogusław ze swymi wyszli za węgiel, omal nie wpadł na nich uciekający Pomorzanin. Zaskoczony skręcił ku rzece i bez namysłu skoczył w wodę. Jeden z wojów chwycił za łuk, by posłać za nim strzałę, ale Bogusław krzyknął:

- Ostaw! Niech się wykąpie. Obaczy, jak to miło w mokrych portkach. Pójdźmy!

Ruszyli śmieiej, bo rosnąca wrzawa wskazywała, że walka lub pościg zbliża się ku przystani. Co chwila widzieli teraz umykających ludzi, przeważnie kobiety i dzieci, ale pędziło wszystko w górę rzeki. Gdy uszli jeszcze kilkadziesiąt kroków, uderzyły ich już całkiem bliskie wrzaski i dostrzegli polskich wojów. Jedni wiązali brańców, inni wynosili towary ze składów lub wyrzucali je przez okna na ulicę. Bogusław przyskoczył do brodacza wiodącego wystraszoną niewiastę, na którą załadował postaw sukna; młody wojak zagadnął:

- Od Skarbimira?

- Mhm! - mruknął zapytany, nieskory widno do rozmowy, ale Bogusław pytał dalej:

- Gród wzięty, że łupy i jeńców bierzecie?

- Odczep się. Nie tobie będę się sprawiał. Lepiej patrz, byś sam co skorzystał. Łupów tu, że nie wiada, co prędzej brać.

|- Będiesz się sprawiał, bom od księżęcia wysłany, który łupić nie zwolił, póki się walka nie skończy.

- Odejdź, gołowąsie, bo oberwiesz! - odpowiedział brodacz. |- Też sobie księżę wybrał posłańca.

- Brodę ma nie jeno cap, ale nawet i koza. Ot, gardzina, co z niewiastami wojuje, gdy inni się krwawią.

Bogusław ulżył językowi, ale świerzbiała go i ręka. W porę jednak przypomniał sobie, że księżę bitki unikać nakazał. Syknął więc jeno do brodacza:

- Jeszcze się spotkamy, stary capie! - i popędził ku białogrodzkiej bramie, gdzie przy wejściu na nasyp dojrzał samego Skarbimira, który kierował walką. Pociski latały tu ze wszystkich stron, polscy woje zasypywali rów, czym się dało, i darli się na wały, ale wielu leżało już bez ruchu na ziemi, pławiąc się we krwi. Inni zbijali naprędce drabiny oraz tarcice dla ochrony przed pociskami.

Bogusław przypadł do Skarbimira, który stał chmurny, nie zważając na lecące strzały; zapytany odparł:

- Sam widzisz, co się dzieje. Bez mała pół hufca rozlazło się za łupem, bo Żelislawowi zaczęli myśląc, że gród już dobyte. Ja zaś tu zabawiać się muszę, bo ciężko idzie. Cofnąłbym się, bo ludzi szkoda i zda się darmo porywać się bez machin, jeno Przedśława żal na przepadle ostawić, któren z częścią swych ludzi wdarł się do miasta. Leć do pana i rzeknij mu, jako jest. Niech, co chce, zarządzi.

Bogusław skoczył z powrotem. Mijając przystań dostrzegł, że księżę wycofuje ludzi spod bramy ku przystani. Gdy spojrział na rzekę, zrozumiał: z lewego ramienia Prośnicy wypływały łodzie pełne zbrojnych i widać było, jak łucznicy wypuszczają strzały w plecy Bolkowej drużyny, sami bezpieczni na wodzie przed jej uderzeniem.

Bogusław z dala poznał księcia po świecącej zbroi i poskoczywszy naprzeciw, zakrzyknął:

- Przedśław odcięty w grodzie, Skarbimir bez machin nie wydoli, a pół luda za łupem się rozlazło!

Księżę nic nie odpowiedział, ale Bogusław, znając go od wyrostka, poznał, że źle będzie z tym, który mu pierwszy wpadnie pod rękę. Szczęki księcia się zwarły, a zaciśnięte usta wykrzywiły

bardziej niż zwykle, odkrywając białe i mocne kły, którymi, zda się, kąsać był gotów. Nie czekał, aż doścignęli woje, którzy z tyłu prowadzili i nieśli rannych towarzyszy. Zwrócił się do obecnych, wskazując na kręcących się po przystani wojów:

- Zegnać mi to stado wilków pod bramę. Którego zęby pokaże, ubić!

Nie jeden z grabieżców oddał łup wraz z głową, ale wieść o tym rozeszła się w mig i pozostali, rzucając wszystko, pędzili pod bramę, gdzie starszyzna ład jąła wprowadzać, by składnie uderzyć. Książę jednak, nadszedłszy, pomiarkował, że nic nie wskóra samą zaciętością. Kazał cofnąć wojska za osłonę budynków i tam przysposobić, ile się da, drabiny, tarcice, bosaki, tarany, mostki do przerzucania i faszynę, by raz jeszcze całą siłą spróbować uderzenia. Palatyn Michał nie był dobrej myśli, ale znając księcia wiedział, że gniewnemu odradzać nie pora, bo zaciąć się gotów. Zresztą póki Przedśław był w grodzie, można jeszcze nie tracić nadziei, że silne uderzenie ze wszystkich stron przełamie obronę, a księżę i tak nie da się przekonać, by odciętych bez próby ratunku poniechać.

Z głębi grodu wciąż jeszcze dochodziły odgłosy zamieszania, a niewiele przed południem wszczął się wrzask, jakby walka rozgorzała na nowo. Wówczas księżę, sam stanąwszy na czele, uderzył i przeraźliwa wrzawa zgłuszyła wszelkie odgłosy idące z grodu.

Ale daremna była największa zawziętość, męstwo i upór, z jakim woje darli się na wały. Obrona działała spokojnie i sprawnie. Koło południowej bramy przełamano wprawdzie częstokół i najchybciejszy jak zwykle Bogusław z kilkunastu wojami wdarł się na wały, ale, na przemoc natrafiwszy, po krótkiej walce musiał się wycofać. Tyle z tego, że wraz z nim wróciło kilku niedobitków z Przedśławowego hufca, a wśród nich Wszebor. Książę, który nadbiegł licząc, że przez wyłom da się większą siłą wtargnąć do grodu, poznał ludzi z oddziału Przedśława i zaraz dopytywał o dowódcę. Wiedzieli tyle, że wraz z nimi zamknął się w budynku, skąd ich wyparto, i mało który ująć zdołał. Wszebor odezwał się:

- Widziałem, jak legł.

W oczach księcia zaświecił żal i gniew. Palatyn Michał, lękając się, że księżę gotów, nie zważając na straty jawnie już bezcelowe, dalej prowadzi walkę, odezwał się:

- Zechciejcie, panie, starszyznę zwołać na radę, co dalej poczynać, bo na nic głową bić o bramy. Nie powiodło się zaskoczenie, to już sztuką grodu dobywać trzeba, nie na siłę.

Bolko przyznać musiał, że słuszność ma sędziwy palatyn. Trąbić kazał w rogi, by od uderzenia odstępować, a po starszyznę pchnął gońców, by się przy rozwidleniu gościńca zesła na radę. Nadciągnęli wkrótce, choć w ranach niektórzy, brakło jeno samego Przedśława. Książę ze zmarszczonym czołem odbierał od starszyny sprawozdania i coraz chmurniej szy słuchał o stratach. Były duże, wojska stopniały niemal o trzecią część. Mimo gniewu i zaciętości młody księżę zbyt doświadczony już był, by nie pomiarkować, że skoro zaskoczenie nie dało wyniku, znużonym i zdziętkowanym wojskiem grodu nie weźmie. Ponadto słusznie można się było spodziewać, że Swatobor pomoc dostanie z sąsiednich grodów. Toteż kiedy palatyn Michał radził oblężenia nie wszczynać i zadowolić się zniszczeniem podgrodzi, a sposobną porą powrócić z większymi siłami, księżę, nie słuchając już głosów innych, rzekł ponuro:

- Tedy Przedśław musi na swoją pomstę poczekać. My tu jeszcze wrócimy.

Krótki chmurny dzień jesienny mierzchnął już i, w miarę jak gasło światło dnia, niebo rozżarzało się łuną płonących podgrodzi, która długo jeszcze świeciła odchodzącym wojskom Bolesława.

Swatobor, gdy mu doniesiono o odejściu Polaków, powrócił rankiem i z okien swego zameczku

patrzył smętnym wzrokiem na pozostałości niedawnej walki. Nie o napaści na Bolkową dziedzinę, ale o własnej myśleć musiał obronie.

Nie taki był los Przedśława, jak księciu opowiedział Wszebor.

Z podwórca domu, w którym zamknął się ze swymi ludźmi, Przedśław udał się na wyżkę i pilnie nasłuchiwał odgłosów walki dolatujących od zachodniej bramy. To wzmagaly się, to słaby, lecz nagle umilkły, a pod bramą zapanowała cisza.

Stary wojak zachmurzył się: księżę musiał odstąpić, widząc bezskuteczność wysiłków. Położenie Przedśławowych pogorszyło się jeszcze. Od wschodu dochodziły wprawdzie odgłosy walki, ale Przedśław niezbyt wierzył, by tam wdrzeć się udało. Natomiast jeśli była droga odwrotu, to jeno na wschodnią bramę, póki tam walka jeszcze wre. Nie było ani wyboru, ani czasu do namysłu. Z rynku znowu dochodziły odgłosy rozkazów i gwar gromadzących się ludzi. Przedśław nie wątpił, że na niego gotuje się napaść.

Zszedł na dół i policzył swych wojów. Garść tego była, a i to nie wszyscy do walki zdolni. Działać należało szybko, by uprzedzić uderzenie. Jeśli przyjdzie ze wszystkich stron, nie oprą się ani chwili. Stał w sieni, nasłuchując głosów z ulicy. Gotowało się pod bramą. Wyszedł na podwórzec i przez przejście między budynkami spojrzął na rynek. Ludzi kręciło się sporo, ale nic nie wskazywało, by i tędy mieli uderzyć. Zgromadził swych wojów i nakazawszy ciszę, rzekł:

- Księżę od bramy odstąpił, na nic nam tu czekać. Wyskoczmy przez podwórzec na rynek, a stamtąd ku białogrodzkiej bramie. Dojdzie jeno ten, kto na nogach, zmiłowania nam nie czekać. W przodku pójdą zdrowi, ranni pośrodku, ja zaś z Doliwami w ociążu...

Dalsze słowa zgłuszył huk bramy bitej taranem i wrzaski z ulicy. Przedśław ręką dał znak i woje wysypali się na podwórzec, gromadząc się przy wąskim na jednego człeka przesmyku na rynek. Przedśław, stanąwszy przy nim, przepuszczał ludzi w wyznaczonej kolejności. Doliwowie zdradzali nieklamana ochotę iść w przodku, ale kazał im odstąpić mówiąc:

- Na ostatku pójdziecie wraz ze mną.

Widząc ich chmurne spojrzenia dodał:

- Każdemu żywot jednako drogi. I mój nie tańszy od waszego.

Mruczeli coś między sobą, ale nie zwracał już na nich uwagi. Gdy czoło znalazło się przy wylocie na rynek, Przedśław zakrzyknął:

- Naprzód!

Zaczęli się wysypywać, w ciasnym przejściu jednak wolno szło. Pomorzanie dostrzegli wychodzących i skrzykiwać się jęli, ale głosy z rynku zgłuszył rumor w sieni, łoskot wyważonej bramy i wywracanych sprzętów, którymi ją zawalano. Przerażliwa wrzawa wypełniła budynek i podwórzec. Kilku zbrojnych wypadło z sieni i widząc wymykających się polskich wojów, krzykiem zaczęli przywoływać swoich. W rynku już wrzała walka, a i od tyłu doskoczyli napastnicy.

W wąskim gardle jednak i uchodzić, i ścigać trudno było. Przedśław cofał się krok za krokiem, w miarę jak czyniło się miejsce, spokojnie odpierając niegroźne z braku rozmachu ciosy napierającego przeciwnika, czekając chwili, gdy sam znajdzie swobodę ruchów i będzie mógł uderzyć. Jeno wolną przestrzeń poczuł za sobą, wymierzył cios i Pomorzanin runął, zawalając przejście, a inni cofnęli się. Przedśław spojrzął: w rynku wrzała walka, obskoczeni Polacy usiłowali się wyrąbać z koliska. Doliwowie, miast ku nim, skoczyli na południe, widno zamierzając się ratować na własną rękę.

W starym woju zawrzała krew.

- Stać - wrzasnął przekrzykując zgiełk - lub was strzały wstrzymają!

Świętosław i Krystyn ani się nie obejrzeni, ale najbliższy Wszebor odwrócił się. Ponura złość widniała w jego twarzy. Widząc, że pogróżka niepłonna i Przedśław sięga do łubów po łuk, Wszebor bez namysłu zmierzył do niego, wypuścił pocisk i skoczył za braćmi.

Strzała ugodziła Przedśława w kolano. Czarne i czerwone płaty zawirowały przed jego oczyma, a przeraźliwy ból rozluźnił mu członki. By nie upaść, wsparł się na mieczu, ale w tej chwili dojrzał błysk brzeszczotu nad głową i to było ostatnie, co zapamiętał.

Upadek wodza dostrzegło kilku polskich wojów; rzucili się z pomocą, ale nim dobiegli, obkoczeni ze wszystkich stron, legli pod ciosami. Przedśław pozostał sam, ale nie wiedział o tym.

Zbudził go świdrujący ból - w głowie huczał mu wodospad. Przez ogłuszający szum słyszał pojedyncze słowa, ktoś wymienił jego zawołanie. Potem znowu ból, od którego świat szerniał, a zimny pot oblał zdrętwiałe ciało. Jakby zza ściany doszło go przekleństwo:

- Psiamać! Grot ostał. Siedzi w kości po zادیore.

Potem znowu Przedśław spadał gdzieś w nieznaną głębię. Nad leżącym stał sam Borcho i mówił:

- Opatrzyć go i pod dach zanieść. Ktoś ze starszyny, miarkując po znaku - Łabędź. Ród możny, z duńskich królów się wiodą. Albo wykupią swojaka, albo na wymianę zda się.

Ale Przedśław tych słów nie słyszał. Szum w potłuczonyj głowie malał, ale wzmagała się goręta. Zrazu ostry, łamiący ból w kolanie przechodził w palenie obejmujące całą nogę i posuwające się coraz wyżej. Zwidy i majaki mieszały się z rzeczywistością, 'której poczucie tracił coraz bardziej. Nie zdawał sobie już sprawy z czasu. Widziało mu się, że poległ, znajduje się w piekle i płomień, który ogarniał jego ciało, palić go będzie przez wieczność.

Potem znowu chwila ulgi, gdy go ktoś poił, choć napój był cierpki i gorzki. Po członkach rozchodziła się omdlałość, płomień, który czuł w ciele, zobaczył przed sobą, a dokoła snuły się nieznane postacie. „Diabły!” - pomyślał i włos zjeżył mu się z przerażenia.

W głowie kręciło mu się, ale czuł, jak go chwytają, i nagle ból tak straszliwy, jakiego nigdy jeszcze nie poczuł, przywrócił mu zmysły. Wyprężył się, ale nie mógł się poruszyć. Wyszczrzył zęby i zawył jak potępieniec, a wycie to świdrowało mu jeszcze w uszach, gdy nagle bez przejścia runął w przepaść.

Budził się pomału, jakby się z trudem wydobywał z czarnej i gęstej cieczy. Pustą jego głowę, kropla po kropli, wypełniać zaczynała świadomość, a wraz z nią wracał palący i tępy ból, przybierający coraz na sile, ale tkwiący wyraźnie w nodze. Wreszcie ból stał się tak przeraźliwy, że Przedśław krzyknął i otworzył oczy. Pomarszczona twarz kobieca pochyliła się nad nim, a starczy głos odezwał się:

- Leżcie! Najgorsze już za wami. Teraz jeno cierpliwości.

- Co ze mną? - wyszeptał spalonymi wargami,

- Ogień się w was od rany zapalił. Ale ogień na ogień! Rozpalonym nożem nogę warn ucieli i wygoi się. Jeszcze obaczycie swoich, bo na zamianę lub wykup Borcho was leczyć kazał.

Zgrzybiałą ręką gładziła jego zroszone potem czoło. Zamknął oczy i zaciskając zęby, starał się zebrać świadomość. Nogę przecie czuje, jakby ją ktoś łamał i palił, i miażdżył. Po chwili wyszeptał:

- Pomóżcie mi się dźwignąć.

Podtrzymała mu głowę i wówczas uwierzył. Nogi nie było. Opadł na posłanie i patrzył suchymi oczyma w powałę. Najgorsze już za nim?! A przed nim kalectwo i niewola!

- Wolej bym poległ - syknął.

Stara niewiasta wstała i podając mu napój, rzekła:

- Tak ono wojacy! Jeno polec umięją lub ubić drugiego. A nie baczą, że ostawiają kogoś, kto czeka ich powrotu i rad by choć bez rąk i nóg ich ujrzał.

Przedślaw pomyślał o swoich i zacisnął zęby. Po chwili odparł:

- Nic im już po mnie i czekać nie mają na kogo.

Kiwała siwą głową na suchej szyi.

- Co wy wiecie? Mężowie muszą walczyć, a niewiasty płakać. Taka dola.

Poprawiając mu posłanie, ciągnęła:

-! Trudniej ból cierpieć, niż go zadawać. Ale wy o tym nie myślicie, my jeno.

- Ból umiem ścierpieć - szepnął. - Jeno niedołęstwo... i niewola... Od wyrostkam wojował zawsze i nic innego czynić nie zdolę... a tegom się jeno dorobił - wskazał na nogę. - Ród o mnie nie stoi, wykupić się nie mam za co...

Położyła palec na ustach:

- Tego nie gadajcie nikomu. Na sprzedaj za niewolnika niezdatniście, szesznać by wam przyszło. A póki życia, zawsze się coś może zmienić. Ja ćwierć wieka czekam już na jedynego syneczka, co na was poszedł... i... nie wrócił.

Podala mu znowu napój, mówiąc:

- Pijcie! To na sen. Trochę bólu prześpicie, a może się co dobrego choć przyśni.

Wypił i szepnął:

- Dlaczego pomagacie?

- Chyba tam i memu synkowi ktoś rękę podał pomocną. Wždy jedną mową mówimy. Ale jeśli go i ziemia pokryła - suchy szloch ścisnął ją za gardło - niechże z krwi nienawiść nie rośnie, bo nie będzie kresu nieszczęściom, aż nas obca przemoc pogodzi.

Książę, odprowadziwszy wojska na bezpieczną odległość, zboczył z białogrodzkiego gościńca w lasy, by wśród nich stanąć obozem. Mimo że dana Swatoborowi nauczka na długo winna wystarczyć, zły był Bolko i zgryziony. Właściwego celu wyprawy chybił, a utracił najlepsze siły. Nastrój księcia odbijał się na wojsku, toteż nie było w obozie wesołości, jaka zwykle po zakończeniu ciężkich walk panuje, jeno przygnębienie i znużenie nadmiernym wysiłkiem. Bolko nie zwykł ukrywać swego niezadowolenia, a w karaniu, równie jak i w nagradzaniu, nie znał pomiarkowania. Całą zdobycz złożyć kazał w szałasie koło swego namiotu i zakarbować. Woje oddawali ją z niechęcią i ociąganiem, bo, wyjąwszy drużynę książęcą i Przedstawowych, niewielu spodziewało się nagród.

Wyczerpani zasypiali kamiennym snem i mimo że zaszło blade słońce, wróżąc pogodny dzień, nie budził ich nikt. Dano im się wyspać do sytości, bo wszystkim należał się wypoczynek. Dopiero koło południa starszyzna zwoływać jąła na przegląd. Stanęli w czworobok w znacznie szczuplejszej liczbie, niż przyszli, i z pewnym niepokojem oczekiwali na zjawienie się księcia. Niejeden zazdrościł rannym, bo im książę nie zwykł żałować zdobyczy i sprawiać się nie będą musieli, gdzie ich nosiło w czasie bitwy, ani troszczyć o nic, bo książę kazał wszelkie mieć o nich staranie. Leżeli wygodnie pod dachem i czekali jeno na nagrody, choć nie każdy ich doczekał, bo i ciężko rannych nie brakło, którym jeno parę łokci ziemi się patrzyło. Niejeden do końca żywota w domu już siedzieć będzie musiał, wprawdzie zaopatrzone, ale na zawsze niezdatny do boju.

Gdy stanęli w sprawie, zjawił się Bolko w otoczeniu palatyna Michała i wojewodów. Wstąpiwszy w środek podkowy, w którą ustawione były szyki, zaczął:

- Wojna musi żywić samą siebie, ale zdobycz nagrodą męstwa jest, nie chciwości, boby się wojak niczym nie różnił od zbója. Chciwość tedy wpierw ukarzę, nikomu - kromie tych, co ze mną mężnie, choć bez skutku bramy dobywali, i tych, co do grodu się wdarli - nijakiego udziału w łupach nie dając.

Szmer rozległ się w szeregach, ale groźne spojrzenie księcia zgasiło go zaraz jak woda żar. W głuchym milczeniu książę podjął:

- Nie dla złota, srebra i jantaru tu ciągnąłem, własnego i waszego trudu i wczasu nie żałując, nie złotem też i srebrem za krew najlepszych z was zapłacę ci, co niekarnością i chciwością do zguby ich się przyczynili.

Zwracając się do wojewodów, dodał:

- Winnych odszukać i przed sąd nasz stawić. Jutro z rana zasłużeni otrzymają nagrody, a winowajcy karę poniosą, by wszem było wiadomo, że nic nie pozostaje bez odpłaty. Innym sposobność wkrótce będzie dana zawołanie swe poprawić i na nagrody zasłużyć.

Skończył i skinąwszy na Skarbimira i Żelysława, oddalił się do swego szałasu. Gdy po chwili wodzowie wyszli, Skarbimir blady był, a Żelysław czerwony. Bąknął:

- Wolałbym drugą rękę utracić, niż takowe słowa usłyszeć. I najtęższemu szermierzowi zdarzy się, iż mu miecz z ręki wypadnie.

- Mniemałby kto, że nie ja jego, jeno on mnie wojny UCZYł - syknął przez zęby Skarbimir.

- Uczyć go niewiele trzeba było, bo się do walki urodził - odparł Żelisław. - Tedy mu już piastun niepotrzebny. A prawdę rzec, słuszna jest, żeby wódz, który za zasługi swych ludzi sławę i nagrody zbiera, także cięgi przyjął za ich winy.

- Tedy widno Bolkowi piastun jeszcze by się zdał, co by mu cięgi spuścił, bo onże tu wodzem. Jeno że mleko ma jeszcze pod nosem, tedy mu rycerskie czyny pierwsze przed troskami wodza. Na zachodnią bramę uderzenie poprowadzić mógł ktokolwiek ze starszyny, a wodza rzeczą nad całością czuwać. Pod jego okiem nie byliby woje z posłuszeństwa wyszli, bo mir ma u nich i drżą przed nim.

- Może i prawda, ale trzeba mu to było rzec przed bitwą. Radził z wami przecie i pewnie byłby posłuchnął, bo zapalczywy jest wprawdzie i chciwy bitki, ale ani uparty, ani głupi. A już z waszym zdaniem wielce się liczy.

- Liczy się - odparł trochę urażony, a trochę pogłaskany Skarbimir - jeno że coraz mniej. Lękam się, że przyjdzie taki czas, iż zgoła z nikim liczył się nie będzie...

Skarbimir nie dokończył. Wiedział, kim jest, a tężejąca w oczach postać księcia, którego wciąż jeszcze za wyrostka przywykł uważać, coraz mniej zostawiała przy sobie miejsca. Przywiązany był nawet do Bolka, ale nie umiał się z tym pogodzić, że młodzian tak szybko wyrasta na męża. Odszedł do swych ludzi, by niechętnie wykonać rozkaz księcia. Wolał sam prowadzić wyprawy, umiał bowiem dźwigać odpowiedzialność, a sławą i zyskiem nie lubił się dzielić. I on urodził się wodzem i podwładnym być nie umiał.

Mimo zmęczenia mało kto spał tej nocy. Jutrzejsi skazańcy w więzach już i pod strażą oczekiwali swego losu. Bolesław nie miał miękkiego serca, które by łzami i prośbami dało się poruszyć. Wielu współczuło winowajcom, zwłaszcza ci, co sami zasłużyli na karę. Trudno się oprzeć, widząc tyle bogactw. Drudzy zawidzili tym, co nagrody mieli otrzymać, choć rozsądniejsi musieli przyznać, że nietanio im przysły. Legła niemal połowa Przedstawowych i trzecia część Bolkowej przybocznej drużyny, czy to w grodzie kości położywszy, czy pod bramą. Wielu leżało w gorętwie od ran, a niemal żaden, wyjąwszy samego księcia i Bogusława, cały nie wyszedł. Bogusław - ten w czepku się urodził. Pierwszy, nie oglądając się na innych, dopadł pod bramę i, ubiwszy zaspanego strażnika, rąbać począł, a potem na czele kilkudziesięciu ludzi przełamał częstokół i wdarł się do grodu. Choć wyparty - ocalił przez to resztę Przedstawowych wojów, sam nie draśnięty nawet, jakby nie z ciała był, jeno z płomienia. Ale że wesołek nie wynosił się nad innych, tedy, choć pyskаты i zadzierzysty, lubiany był przez towarzyszy i nie zazdrozczono mu, że w szesnastu leciech pas i ostrogi otrzyma, na które niejedno darmo czekał do siwego włosa.

Natomiast mało kto żałował Przedstawę. Dla podwładnych surowy był i wymagający, wobec starszyny dumny i oschły i nie poufalił się z nikim. Toteż choć męstwo jego i doświadczenie budziły uznanie, mówiono o jego śmierci jak o stracie dla wojska, ale nikt się nie użalił nad nim jak nad człowiekiem. Tylko Żegota Zaprzaniec na wieść o śmierci Przedstawę zasumował się, ale i on może jeno dlatego, że ubył jeszcze jeden towarzysz dawnych bojów Śmiałego, z którym można było o młodych latach pogwarzyć; a niewielu już ich zostało.

Otrząsnął się jednak ze wspominek. Przybrał się pośpiesznie i podążył na pochówek poległych i zmarłych z ran oraz rozdanie nagród. Pomyślał jeszcze, że Przedstawę nie tylko żadnej nie otrzyma, ale nawet chrześcijańskiego pogrzebu nie doczeka, jeno pogańskie psy rozwleką jego kości. Twardy miał los!

Książę zamierzał wykonać karę na winowajcach wobec całego wojska, ale ustąpił

przedstawieniom Skarbimira i stracić ich kazał przed świtaniem na osobności, a ciała pogrześć po cichu, tyle że kapelan krótką modlitwę za nieszczęśników odmówił. Zaraz zaś po uroczystym pogrzebie poległych ksiązę przystąpił do rozdania nagród.

Przed podwyższeniem leżała zdobycz, na którą żalosnymi oczyma patrzyli ci, co dla niej wstyd ściągnęli na siebie, a nieszczęście na towarzyszy. Teraz zaś jeno patrzeć mieli, jak ksiązę obdarza nią innych. Pierwszego wywołał Bogusława, który już przybrany w zdobyczną zbroję, za luźną nieco na niego, szedł uśmiechając się wesoło i z dziecinną jeszcze dumą rozglądał się dokoła, czy wszyscy widzą i podziwiają jego nowe przybranie. Ukląkł przed księciem na stopniu podwyższenia, a ksiązę, stojący w gronie starszyny, z rąk palatyna Michała wziął pas z kutych klamer i opasał nim swego giermka, po czym uderzył go mieczem po ramieniu, a ręką z lekka po twarzy. Obecni myśleli, że ksiązę wedle obyczaju wobec wszystkich przemówi do pasowanego, ale Bolko jeno się pochylił nad nim i powiedział coś cicho.

Bogusław podniósł na księcia roześmiane oczy i, obyczajem swym tłumiąc ręką śmiech, również cicho odparł:

- Stanie mi jedno za drugie. Bijcie!

Ksiązę mimo woli zagryzł wargi, ale zmusił się do powagi i dodał szeptem:

-! Nie minie cię, jeno wstydu ci nie chcę czynić wszem wobec. Teraz jesteś pasowany rycerz, czas, byś się ustatkował.

Wręczył jeszcze Bogusławowi miecz i pozłacane ostrogi i przystąpił do dalszego rozdawania nagród. Potem zaś wraz ze starszyna udał się do rannych, którzy o własnych siłach przyjść nie mogli. Bogusława obstąpili towarzysze, przekomarzając się z nim i dopytując, co mu ksiązę na ucho powiedział.

- Cości mi jeszcze przyrzekł, ale widno nie chciał, byście wiedzieli - odparł Bogusław.

- Gadajże! Wždy ci nie zabronił, a dostaniesz, i tak każdy wiedzieć będzie - nalegali.

- Nijak nie mogę, chyba jeno tyle, że ja jeden to mam dostać.

Zaczęto się domyślać, a nawet spierać, co to być może. Jeno Wszebor Doliwa, który nie lubił Bogusława, bo najczęściej za oselkę służył jego językowi, parsknął:

- Myślałby kto, iż nie było jeszcze takowego witezia, że mu ksiązę osobne nagrody obmyślają. Za to, że chybki w nogach, pas i ostrogi dostał. A wždy nie jeno koń od niego chybciejszy, ale nawet osioł. Mało mu zbroi, co na wojewodę prawie, jakby już lepszego tu nie było, choćby i ja albo inni, co pierwsi do grodu się wdarli i bez mała pół dnia tam trzymali.

Bogusław stał, z udaną skromnością spuszczać oczy, ale inni wsiedli na Wszebora, że Bogusławowi zawidzi. Odparł ze złością:

- Nie zawidziłbym, gdyby iście zasłużył. Ale prawdę rzec, za to on nagrody zbiera, że się przy ksiązęciu wiesza, ciźmy czyści i służy za trefnisia.

Wszebor nie miał miru, tedy niektórzy w obronie Bogusława do kłótni się brali, a zapalczywsi i do bitki, gdy niespodzianie Bogusław odezwał się potulnie:

- Praw jest Wszebor, że starczyłoby mi to, com już otrzymał. Ale jakoż mi odmawiać, skoro ksiązę dołożyć chcą? Z serca bym to Wszeborowi odstąpił, bo wszem wiadomo, że jak głupi, tak bitny. Jeno czy ksiązę się zgodzą?

- Ty nie bądź głupi! - zakrzyknęli. - Wszebor swoje dostał, jako i każdy z nas, a chceszli się wyrzec nagrody, to nie brak lepszych od niego.

- Rycerskie słowo się rzekło - odparł Bogusław z powagą i ręką sięgnął do ust, jakby wąs chciał

podkreścić, którego nie miał jeszcze. - Poproszę księżęcia: zgodzą się, niech Wszeborowi idzie na zdrowie.

Wszczęła się wrzawa, ale w tej chwili książe wyszedł z szałasu rannych i skierował się do swego. Bogusław przystąpił i zaczął:

- Wybaczcie, miłościwy panie! Wszebor mniema, że zadość tego, com już z waszej łaski otrzymał, tedy mu obiecałem wstawić się u was, by to, coście mi jeszcze przyrzekli, jemu przypadło. Tedy uczynicie, jak wasza wola, ja zaś zadowolę się tym, com już dostał.

Książe spojrział na Bogusława, jakby nie rozumiał, o co idzie. Nagle zagryzł wargi, ale zmusił się do powagi i zwracając się do Wszebora, zapytał:

- Wždyś swoją nagrodę już otrzymał, mało ci? Czemuż drugim zawidzisz, nawet nie wiedząc czego?

- Bom taki dobry, jak i on, a i bez pół tyle nie dostałem. Chce mi zaś z dobrej woli ustąpić, od przybytku głowa nie boli.

- Głowa nie. Ale chciwyś, tedy pójdź.

Bolko ruszył do szałasów, a Wszebor uradowany za nim. Jenemu się oddalili, Bogusław, który gryzł wargi, jakby mu się na płacz zbierało, za żywot się uchwycił, a potem, twarz zasłaniając rękoma, trząść się zaczął. Patrzyli na niego zdziwieni, Domasław Ciołek zaś, myśląc, że Bogusław płacze, rzucił:

- Dzieciuch jesteś! Żal ci nagrody, nie trzeba było temu okrztoniowi ustępować. Niechby sobie gadał, co chciał...

Urwał i patrzył ze zdziwieniem na Bogusława, który rzucił się na ziemię i tarzać jął zanosząc się od śmiechu.

- Z czego się zaś ten wesołek śmieje? - zdziwił się Domasław.

- Z tej nagrody... co Wszebor... za mnie weźmie. O Jezu! Bo pęknę!

- A jakąż to nagroda? Gadajże, bo ci w kark dam!

- Zawidził mi Wszebor... pasowania. Tedy jego książe... pasuje... po zadku. Trzymajcie mnie!

Odgłosy idące z szałasów księcia lepiej wyjaśniły sprawę i śmiech jak choroba świętego Wita ogarnął wszystkich. Jęcząc i wijąc tarzali się po ziemi nie tylko młodzi, ale i poważni woje.

Książe, który właśnie skończył egzekucję, wyskoczył z namiotu. Jenemu okiem rzucił i dojrzał w środku koliska tarzającego się po ziemi Bogusława, zrozumiał, co się dzieje. Krzyknął ponad gwar:

- Milczeć! Wstawać!

Dźwigali się jeden po drugim i śmiech gasł, jeno słyhać było jeszcze zdyszane oddechy. Książe zaś rzekł spokojnie:

- Niech to innym za przykład służy, że chciwość ni zawiść nie płaci. Ale i w śmiechu trzeba mieć pomiarkowanie. Do koni! Obóz zwijaj! Ruszamy!

Przed odejściem, gdy wojsko stało już w szyku, książe na czele starszyny przeszedł szeregi, licząc ludzi i konie. Rannych wycofano na tyły, gdzie szła gromada powiązanych jeńców, przeznaczonych częściowo do naprawy pogranicznych grodów, częściowo na osadników w głębi kraju. Twardy los ścielił się przed nimi, ale pokrewni mową i obyczajem wkrótce zrósć się mieli z nowym środowiskiem. Jenemu nazwy „Pomorzan” pozostać miały w dalekie wieki dla założonych przez nich osad, koło Gniezna, Olkusa, Radomia i Kielc, świadcząc o pochodzeniu ich pierwszych mieszkańców. Teraz jednak szli z powrozami na rękach i z nie wygasłym jeszcze przerażeniem w oczach, nie śmiejąc nawet obejrzeć się w stronę, kędy zostały ich domy.

Książę jechał w zamyśleniu; po chwili skinął na Bogusława, który zbliżył się, uśmiechnięty trochę niepewnie. Bolko, biorąc go za ucho, powiedział:

- Wykpiłeś się od bicia. Przebiegła z ciebie jucha. Ale przed Wszeborem miej się na baczności.

Pośmiewisko z niego zrobiłeś dla całego wojska.

Bogusław nad czymś się zasumował i jechał w milczeniu. Książę patrzył na niego spod oka i zapytał:

- Nad czym tak dumasz? Nie boisz się go chyba?

- Nie! Nie o tym myślałem, jeno że taką piękną ułożyłem sobie pieśń i zmarni się, bośmy grodu nie wzięli i nijak ją śpiewać.

- Może się nie zmarni. I teraz inaczej by poszło, gdyby rycerstwo rozumiało, po cośmy tu przyszli.

Ale myślę, że nauka nie pójdzie w las.

- Tedy wrócimy tu jeszcze? Chwalić Boga, bo szkoda by było takiej pieśni. Chcecie, to wam zanucę?

- Nie teraz. Zanucisz, gdy Kołobrzeg będzie mój.

- Tedy wrychle tu wrócić musimy, bym nie zapomniał.

- Juści! To najważniejsze.

VI TRUDNOŚCI

Bolko ciągnął do Krakowa, by po trudach wyprawy wczas dać rycerstwu, a samemu młodą małżonką się nacieszyć. Tyle ją niemal widział, co na weselisku, a i wtedy napad Borzywoja i Świętopełka na Śląsk oderwał go od małżonki, zmuszając do przerywania uroczystości.

Wróciwszy tedy z Kołobrzegu, rycerstwo do domów rozpuścił, ale jego samego nie wczasy czekały przy boku małżonki, lecz biskup belowaceński Gwaldo, legat papieski, z którym pod nieobecność pana biskup krakowski Baldwin prowadził układy. Sprawa nie była łatwa i musiała czekać powrotu księcia, chodziło bowiem o odstąpienie antypapy i uznanie prawowitego papieża Paschalisa II. Oznaczałoby to rzucenie wyzwania cesarzowi i rozdwojenie polskiego Kościoła. Arcybiskup gnieźnieński bowiem, Marcin, dla którego legat paliusz przywiózł, odmówił złożenia przysięgi Paschalisowi. Także przeważna część wyższego duchowieństwa stała po stronie niemieckiego papieża Adalberta, a wraz z nimi Zbigniew, który w razie uznania Paschalisa przez Bolesława zyskałby w cesarzu potężnego przeciwnika bratu sprzymierzeńca. Rozdwojenie między braćmi, rozpoczęte przy zwłokach rodzica gorszącą kłótnią o pierwszeństwo, pogłębiłoby się jeszcze. Bolko wprawdzie dla pamięci ojca i na nalegania Marcina ustąpił wówczas, choć jako prawy syn miał w ręku stolicę i klejnoty koronne, ale widoczne już było, że brata nie przejednał. Nie chciał jednak wdać się w otwartą wojnę, mimo nalegania popędliwszych doradców. Gdyby Marcin dał się przekonać do sprawy Pomorza i antypapy odstąpił, Zbigniew straciłby w nim oparcie, bez którego nie był dla Bolesława groźny. Wysłał tedy Bolko Skarbimira do arcybiskupa w nadziei, że obrotny człek zdoła przekonać upartego starca, iż misja na pogańskim Pomorzu jest jego sprawą, a czas najwyższy ją złagodzić, póki zamieszany w walki wewnętrzne w Niemczech magdeburski arcybiskup nie podniesie swoich roszczeń do tego kraju.

Załatwienie tych zawitych spraw wymagało i cierpliwości, której bawiący przy księciu Bogusław zgoła nie miał, i doświadczenia, które miał jeno w wojnie i łowach. Gdy zaś w tej chwili książę wojny właśnie chciał uniknąć, a na łowy nie stało czasu, Bogusław wybrał się do Sulikowic, by odwiedzić od roku nie widzianego ojca.

Droga była daleka i uciążliwa, bo zima już śniegiem przywaliała świat, ale i tak szybko podróżować by nie mógł, bo oprócz małego pocztu prowadził dwie pary brańców pomorskich, by ich na dziedzinie osadzić. Większą jednak zwłokę niż kopne drogi powodowała gościnność, od której nijak się było wymówić po grodkach i dworcach. A wstępować do nich na noclegi musiał, bo mrozy wzięły siarczyste. Zajechawszy zaś, trudno było wyjechać, bo w kraju niepokój był i wszędy chciwie czekano na wieści. Gdy jeno się opowiedział, kim jest i skąd jedzie, zasypywany pytaniami, po sto razy opowiadać musiał przebieg pomorskiej wyprawy i co dzieje się na dworze w Krakowie. Gdy zaś nagadał się ze starymi, brali go w obroty młodzi, którzy z zazdrością i podziwem patrzyli na jego pas rycerski. Tym znowu opowiadać musiał, gdzie i jak go zdobył, że zaś w gardle mu zasychało, miodem przepłukiwał, a gdy podpił, proszony czy nie proszony, brał się do śpiewania i mało kiedy nie dosiedziało do świtu, który coraz wcześniej rumienił pogodne niebo zimowe. Potem zawieje

przyszły, które nieraz po parę dni trzymały go na miejccu, a czasem niewieście oczki, od których jednak uciekał lękając się, że zgoła ugrzęźnie w drodze. Tego zdołał uniknąć, natomiast parę razy omal nie ugrzązł w błocie, bo wczesne przedwiośnie rozmroziło drogi. Pierwsze skowronki dzwoniły już na bladym niebie, gdy wreszcie ujrzał niebosiężne topole, u których stóp kulił się stary dworzec, przysiadły pod omszałą czapą strzechy, że z dala jak pagórek wyglądał, i jeno unosząca się ku górze smużka dymu zdradzała ludzką siedzibę. Na ten widok Bogusław żgnął konia ostrogą, mimo że drożyna była przepadlista, i zostawiając poczet za sobą, poczłapał naprzód. Przez wrota w częstokole, stale widno otwarte, bo wrosły już w ziemię, wjechał na dziedziniec. Nie było na nim nikogo, powitała go natomiast zewsząd pędząca sfera, z wielkim szczekaniem dobierając się koniowi do pęcín. Rumak począł się boczyć i ciskać, a Bogusław powściągnął go z trudem, wołając na stajennego, by psy odegnał i konia odwiódł do stajni. Za sobą posłyszał znany głos:

- Do budy, kudłacze!

Psy odskoczyły, jeden jeno stał jeszcze, warcząc z cicha, ale gdy Bogusław zeskoczył z konia, by ojca podjąć pod nogi, pies obwąchał go i łasząc się merdał ogonem. Stary Dobiesław przygarnął syna, mówiąc z kpiną:

- Tak często rodzica odwiedzasz, że już i psy cię zapomniały. Nie dziw, że i ja nie poznałem, bo rośniesz, jucho, jako trzcina, a strojnyś jak książkę.

- Wojowaliśmy. A ninie spokój, tedy przyjechałem.

- Juści spokój. I widzę, że ci tak spieszno do rodzica, iż koń cały w błocie. Będiesz go sam czyścił.

- Zaś parobcy gdzie? - zapytał Bogusław rumieniąc się.

- Żebyś ryczał jak tur, nie dowołasz się. Brance, coś mi ich przysłał łośńskiego roku, zbiegli, bo mazowiecka granica tuż. Ani ich tam ścigaj, jako we wrogim kraju, bo Zbigniew z Pomorcami z dzióbków sobie jedzą. Zaś łazęgów Prawdzice mi odmówili, bo od Szczodrego czasów nam nieprzychylni, a ninie już za książąt się mają, jako pańscy krewniacy. Jeszcze mi po borach łowią i kopce przesypują, a ja ino patrzę, bo co mi czynić?

Bogusław ręką sięgnął do miecza, ale stary zadrwił:

- Bij! Jeno ty wyjedziesz, a mnie się chyba z dziedziny wynosić, bo sam z paru babami, co starszymi, ostałem. Tedy jest komu kaszy uwarzyć, zaś dla takiego rzadkiego a dostojnego gościa choćby mięsiwo i kołacze. Pójdź, gadać możemy przy stole.

Odwiedli konia do stajni, po czym przez niskie drzwi pod nawisłą strzechą weszli do obszernej, lecz mrocznej izby, którą oświetlał płonący na palenisku z okapem ogień. Bogusław zrzucił szubę i kiereję, a stary patrzył na niego z zadowoleniem, mówiąc:

- Pas już nosisz. Juści zaszczyt to jest... a dziedzina borem zarasta.

- Przywiodłem ci ja brańców, jeno takóž Pomorce - rzucił Bogusław.

- Pobędą i zbiegną jako i tamci. Gdy się książęta gryzą, ładu nijakiego nie masz. Pono już za Sieciecha lepiej było, bo choć swój ród nad wszystkie wyniósł, ale wielmożów i prosty naród umiał trzymać w karności.

- Wždyście go sami wygnać pomogli.

- Pomagałem, bo on społem z tą ladacznicą, Hermanową Judytą *, Piastowy tron obsiąść umyślił, dziewierzem cesarskim ostawszy. Ale wonczas młodzi książęta ze sobą trzymali. A ninie miast jednego pana, dwóch mamy, a miast jednych Starżów, w Zbigniewowej dziedzinie Prawdzice i Turzynowie nad innych się wynoszą, zaś u Bolka Awdańce i Łabędzie. Starze i ich swojaki, jako to:

Pałuki, Nagodzice i Odrowążę, na boku stoją, temu się przedać gotowi, kto lepiej zapłaci. A jeszcze biskupi,

1 mowa tu o trzeciej żonie Władysława Hermana, Judycie Marii, siostrze cesarza Henryka IV każdy niemal za księżęcia się ma, jako u Niemców, pomni, jak to się Szczodry przez Turzynę ze Szczepanowa przewrócił; zaś arcybiskup chyba za króla, bo on ci w Polsce jeden, a książąt dwóch, tedy kłaniać się, o względy zabiegać muszą.

- Bolko nie lęka się biskupów. Zegnał przecie krakowskiego Czesława i poznańskiego Ederama. Zaś do arcybiskupa palatyn Skarbimir pojechał. Obrotny jest, to sprawę z nim załadzi, by od niemieckiego papieża odstąpił.

- Oto mi nowiny prawisz. Bolko zuchwały jest, bo młody, tedy w swojej dziedzinie biskupów, którzy nie chcą uznać rzymskiego papieża, przegania. Ale Skarbimir z niczym wrócił od Marcina i ninie nie jeno dwóch książąt, ale i dwóch papieży mamy.

- A to zaś skąd wiecie? - zapytał Bogusław zaskoczony.

Stary zaśmiał się i pogładził krótką, kędzierzawą brodę.

- Tak cię tęskność gnała do rodzica, iżem już myślał, że cię wilcy po drodze ogryźli. A tymczasem był tu ze dworu posłaniec, byś wracał.

Bogusław zmieszał się, ale stary zaśmiał się mówiąc:

- Pewnie cię białki po drodze trzymały, co i nie dziw. Ja w twoich lecach też do nich pilniejsze miałem sprawy niż do rodzica. Jeno się usidlić nie daj, przyjdzie czas, to sam cię wyswatam.

- Nie to - mówił Bogusław, rumieniąc się pod spojrzeniem ojca. - Sami wiecie, że trudno się od gościny wymówić. Jeno czemu Bolko nagli? Chyba znowu wojnę gotuje.

- Tak i myślę, żeś mu nie do rady potrzebny, bo innych ma do tego, i już, co trzeba, z Gwaldonem załadził. Mało miał wrogów, jeszcze sobie cesarza napytał, który teraz będzie popierał Zbigniewa.

- Ale za to w Rzymie zyszcze sprzymierzeńca.

- Szczodry też go miał i wiadomo, jak się skończyło. Wy pójdziecie na wygnanie, a ja chyba do lasu, bo się Zbigniew mścić będzie na Bolkowych stronnikach. Ale co tam zgryzoty na pniu zbierać! Siadłeś na Bolkowego konia, tedy jedź na nim.

- Juści, że się nie przesiądę ani się trapić nie myślę. Bolko się na woja urodził, zaś Zbigniew ciastoch jest, na mnicha chowany. Niechby jeno Bolko kazał, wyżeniem nie jeno Zbigniewa, ale i arcybiskupa. Co mi tam!

- Daj to Bóg. Jakem stary, sam bym ruszył, byle Prawdzicom za sąsiedztwo odplacić. Ale że nie wiada, jak będzie, tedy pijmy. Miód zacny, jeszcze go pradziad Mierzb sycił. Mają zaś obcy wypić, to lepiej my.

Jakoż starali się, by dla obcych niewiele zostało, po czym pieśni śpiewali, a w końcu Bogusław zawziął się, że choćby sam, nie mieszkając, Prawdziców najedzie i pierwszego, którego spotka, na pół rozplata. Stary jednak, który mocniejszą miał głowę, miecz mu schował, więc Bogusław zgodził się wyprawę odłożyć do jutra, nazajutrz zaś zasnął do południa i zbudziwszy się z nieco ciężką głową, przypomniał sobie, że na rozkaz księcia wracać ma do Krakowa. Poniechał tedy zamiaru, obiecując sobie sposobniejszą porą z druhami przyjechać, by Prawdzicom odplacić, choćby i księżę na Zbigniewa nie ruszył, i pożegnawszy rodzica, zabrał się z powrotem.

Księżę Bolko pogodził się z bratem, widząc, że nie podoła walce na wszystkie strony, zwłaszcza że wielkie straty poniesione w kołobrzesckiej wyprawie i srogie kary” jakie spadły na winowajców, niechęć wzbudziły wśród* wielmożów, których synowie zostawili kości na Pomorzu. Miał zaś księżę

nadzieję, że jeśli brat, jak przyrzekł, Pomorców przestanie popierać, a od Borzywoja pokój mu wyjedna, to on sprawę pomorską zdoła zakończyć, póki zamęt w Niemczech saskich wielmożów i magdeburskiego arcybiskupa trzyma od niej z dala.

Skarbimir jednak nie wierzył, by Zbigniew istotnie poniechał najważniejszego i wypróbowanego sprzymierzeńca, i radził za własnymi się obejrzyć. Dlatego Bolko wysłał Bogusława w poselstwie do Jarosława wołyńskiego, swatając Jarosławowi swą siostrę Judytę, by się zabezpieczyć od trembowelskich i przemyskich książąt, z którymi Zbigniew paktować próbował. Zarazem Bolko zwrócił oczy na Węgry, którym, jako i Polsce, z Czech i Niemiec wróg zagrażał i gdzie, jako i w Polsce, wewnętrzna rozterka między Kolomanem i Almusem siły kraju osłabiała. Obawy Skarbimira okazały się słuszne, gdyż wyruszywszy na Pomorze, na przestrzeżonych wrogów trafił i nic nie zdziaławszy, prócz spustoszenia kraju nad Notecią, zawrócić był zmuszony. Także Żelisław, który posiłki powiódł Świętopełkowi, by korzystając ze sposobności, gdy Borzywój stał z cesarzem pod Ratyboną, osadzić na czeskim tronie Bolesławowego sprzymierzeńca, nic nie wskórał. Przestrzeżony Borzywój na czas wrócił do Pragi, a wraz z nim cesarz Henryk IV, którego odstąpił ostatni niemiecki stronnik, Leopold austriacki. Zamęt w Niemczech widocznie miał się ku końcowi. Od dwóch lat już Bolko z walną wyprawą na Pomorze wstrzymywał się, a czas naglił i kończyć należało.

Bogusławowi cniło się i wpraszał się na wyprawy, ale ksiązę ofuknął go jeno:

- Muszę ja siedzieć, możesz i ty. Ucz się cierpliwości.

Nie było co począć. Skarbimir po raz trzeci gotował wyprawę na Pomorze i konne wojska zbierał w Krakowie, gdy piesze tymczasem gromadziły się na granicy. Bogusław kręcił się, pomagał, jak mógł, i jeno żalonym spojrzeniem prosił księcia, by mu iść nie wzbraniał. Ale ksiązę, choć zrozumiał, rzekł jeno:

- Może już niedługo nadejdzie pora, byś swoją pieśń zaśpiewał. Ninie zaś ułóż weselną, bo i mnie uprzykrzyły się już sprawy i wypocząć od nich się godzi. Tedy umyśliłem na weselisko Dzierżykraję Nałęczę z Żelisławową córą jechać do Rudy, jakom im przyrzekł, i na to jeno czekają. Składnie mi jest, bo i kościół nowy święcić się tam ma, i lasy nieprzebrane, tedy się łowami zabawim. Skarbimir też powrotną drogą tam ma wstąpić. Nie zapomnij tedy i tamtej pieśni, ale ninie rażno weź się do weselnej, bo za dwie, trzy niedziele ruszamy.

- Bądźcie bez obawy, pamiętam ja moją pieśń. Chcecie, to warn zapieję. Jeno nieco zmienić musiałem, bośmy nie ostali.

- Weselnej teraz rad posłucham, swój czas na wszystko.

- Weselne najlepsze stare, jako stary miód. Ale każecie, to i nową ułożę. Jeno z luteńką przysiadę, sama mi śpiewa.

VII WESELE W RUDZIE

Skarbimir szedł wielkimi pochodami, aby wykorzystać mroźny jeszcze czas, póki bagna nie puszcza. Pod Radziejowem połączył się z resztą wojsk i ruszył dalej, ostrożnie już, by wieść nie uprzedziła najazdu. Wiódł do tysiąca kopijników i około dwóch tysięcy pieszych tarczowników i łuczników. Siła to była znaczna i pod biegłym wodzem niemało mogła dokonać. U źródeł Noteci przeszedł rzekę i pograniczne lasy, po czym zanurzył się w Bory Tucholskie, na których przeciwległym krańcu leżał cel wyprawy, Bytów.

Bór był prastary, bezludny, nawet smolarze i bartnicy, którzy z niego żyli, trzymali się kraja. Siad ludzki nie krzyżował się z licznymi tropami wszelakiego zwierza. Czasem nad głowami idących otwierało się sklepienie gałęzi, a na drodze stawała gładka jak całun płaszczyzna zmarzniętego jeziora, pozwalająca przyśpieszyć pochód.

Ominawszy z dala Tucholę, wojska przemknęły się między Czerskiem a Chojnicami, które Skarbimir w powrotnej drodze zniszczyć zamierzał, a jeśli się da, i Nakło. Tamtędy mu bowiem droga była na Kalisz i Sieradz ku Rudzie, gdzie z księciem spotkać się miał na weselisku i zdać sprawę z przedsięwzięcia.

Dni były pogodne, a noce jasne, lecz mroźne. Natomiast południową porą nagrzana okiść sypała się z szumem, uwalniając gałęzie, które z ulgą podnosiły się ku górze. Szli rażno i bez przeszkód i po czterech dniach od przekroczenia granicy Skarbimir zatrzymał wojska o kilka godzin drogi od celu, by im dać spocząć i przygotować się do walki.

Doświadczony wojewoda, mimo że zachowano wszelką ostrożność, dziwił się nieco, że nie zauważony przeszedł taki szmat kraju. Nie podejrzewał, że osady i grodki ogołocono ze zbędnych sił, na wyprawę w głąb Polski zbierając wojska, które dla tym większego zaskoczenia ruszyły przez kraj sprzymierzonych Prusaków, by w porozumieniu ze zdrazieckim Zbigniewem przejść z powrotem Wisłę poniżej Płocka i na Bolkowe ziemie od wschodu uderzyć. Gdy Skarbimir, zdobywszy po krótkiej walce Bytów, zawrócił pod Chojnice, Pomorzanie rozpuścili zagony i pałac, i łupiąc ciągnęli na Łęczycę i Sieradz, gdzie niczego nieświadomy bawił na weselisku ze swoją drużyną Krzywousty.

Dworzec Dzierżykraja Nałęczza w Rudzie, choć obszerny, nie mógł pomieścić wszystkich gości weselnych. Nie starczyła na to nawet osada rozłożona u stóp pasma zarosłych borem wzgórz, zbiegających ku dolinie Warty, która wśród bagien i zalewisk kilkoma korytami sunęła swe leniwe wody. Wiosną łączyły się one w jedno olbrzymie jezioro, którego przeciwległy brzeg ledwo był widoczny, zimą zmieniając się w równą jak stół płaszczyznę, jeno tu i ówdzie popstrzoną rudymi szczytkami zeschniętych trzciny. Tylko na południu znajdowało się niewielkie wzniesienie w widłach rzecznych Warty i Żegliny, o małe pół dnia pieszej drogi od Rudy. Wznosiły się tu poczerńiałe ściany książęcego gródka, jeszcze pogańskie czasy pamiętającego, i niewiele młodszego kościółka, wzniesionego na miejscu dawnej kąciny. Gdy zaś skute lodem bagna i rzeka pozwalały bez trudu przejechać kilkadziesiąt stająg, dzielących dworzec w Rudzie od zameczku, książę tam z drużyną

stał, by gościnnemu gospodarzowi ulżyć w kłopotach, który i tak był niemały. Choć bowiem dworzec zasobny był we wszystko, a nie brakło ni ryby w rzece, ni w borach zwierza, dwie niedziele już trwające, ku uświetnieniu połączenia rodu Belinów z Nałęczami, weselisko pochłonęło wszelkie zapasy.

Książę odsunął od siebie myśl o wyjeździe, gdyż zwolniwszy się od ciężkich obowiązków, dał folgę sobie i drugim, korzystając z praw młodości. Jeszcze dwadzieścia wiosen nie przeszło nad jego głową, toteż zaproszył ją nieraz w wesołym gronie, rad słuchając gędzby i pieśni, w której rej wodził Bogusław, pierwszy do wszystkiego jak zwykle.

Duchowieństwo rozjechało się wkrótce, nieco zgorszona, że poświęcenie kościoła połączone z weseliskiem, na którym niezbyt przystojna była zabawa, tak że nawet jednego z kapłanów w więzach do domu odwieźć musiano, bo rozum z przepicia utracił. Potem zaczęła się rozjeżdżać starszyzna rodów, nie mogąc kroku dotrzymać młodzieży w ucztowaniu, a nie chcąc zabawy psuć księciu. Młodzieży nie zahamował nawet smutny wypadek, gdy młody Mikołaj Łodź i Naceśław z Ziełęcina pobili się po pijanemu tak, że obu pochowano na bożej roli przy świeżo wzniesionym kościółku. Niewiasty szeptały, że to zły znak dla młodego stadła, ale książę, od dziecka zżyty ze śmiercią, niedługo się trapił, a i pozostała młodzież nie psuła sobie tym zabawy.

Książę Bolko już kilkakrotnie napomykał o łowach, które lubił na równi z wojną, a i pora była zachęcająca. Schodziło jednak na niczym, bo zabawiwszy się do późna w noc, nie chciało się rankiem zrywać do puszczy. Ale gdy wreszcie mięsiwa zabrakło w komorach, książę nieodwołalnie zapowiedział łowy na następny dzień i rozegnał wieczorem podochoconą młodzież na spoczynek do sieradzkiego zameczku, przykazując stawić się w Rudzie przed świtaniem. Sam na nocleg pozostał, by rano niepotrzebnie czasu nie tracić. Jakoż niebo ledwie szarzało, gdy gotowi już do drogi książę z gospodarzem i kilku najbliższymi towarzyszami posilali się, czekając na przyjazd reszty łowców z Sieradza. Skończywszy jednak posiłek, Bolko powiedział do Dzierżykraja:

- Pewnie pospali się opoje. Czekać nie będziem. Nadciągną, to łatwo najdą nas po śladach, a nam w drogę!

Dzierżykraj rad byłby poczekał, gdyż umyślił wielki szmat borów zagarnąć, by zwierza nabić dostatek, ale nie mógł przeciwieć się księciu, który niecierpliwił się już, by pod sobą poczuć konia, a sklepienie gałęzi nad głową. Zapowiedział więc jeno, by łowców, gdy nadjadą, na wschód skierowano, gdzie na skraju moczarów najczęściej buchtowały stada dzików, a i niejednego samotnika, godnego książęcej ręki, spotkać było można. W dziesięciu tedy, zabrawszy jeno kilku osaczników i jednego psiarka z niewielką sforą ogarów, dosiedli koni i ruszyli.

Książę zrazu parł konia, nie bacząc ni na tropy zwierza, ni na towarzyszy. Z lubością chłonał rzeźwe powietrze mroźnego poranka, wydechając opary przydługiego ucztowania, a pierś, jak do boju przybraną w łuską żelazną naszywany kubrak skórzany, rozpierała ochota przygód myśliwskich, którymi wsławił się od dziecka, a które, nie mniej od wojennych niebezpieczne, wymagały wielkiej zręczności i siły.

Dopiero gdy z przerzedzonego nieco lasu wjechali w nieprzejrzysty młodnik, zawalony ponadto okiścią, książę powściągnął konia, by zaczekać na towarzyszy. Dzierżykraj, zbliżywszy się, zapytał:

- Każecie psy puścić, miłościwy panie? Tu samotnik jeden może leżeć w barłogu. Spotkałem takiego, żebym go drugi raz wolał nie widzieć. Wielki jak krowa, a czarny jak szatan! Omal nie wlażem na niego, bo barłóg sobie głęboki uścielił, a śniegiem go przysuło. Gdy wstawać jął, myślałem, że biesa ziemia wypluła. Tfu! Ale mi się ciepło zrobiło. Chyba postawił na pół łokcia, że

się jeszcze większy wydał, w czarnym łbie jeno mu szabliska błyskają jak noże, a małe, czerwone ślepia utkwił we mnie zgoła bez strachu, jakby chciał rzec: „Jeno spróbuj mnie tknąć!”

- A spróbowałaś? |- zaśmiał się Bolko.

- Gdzie zaś! Sam byłem i, prawdę rzec, oszczep mi latał w rękę, jakobym gruszki trząśł. Jemu zaś nie spieszo nawet było. Ino fuknął kilka razy, zły, żem go z wygodnego łoża spędził, i poszedł.

- Nie próbowałaś go ścigać? - zapytał zaciekawiony książę.

- Wróciłem w te pędy do dworca po ludzi i psy i poszliśmy za tropem. Rapcie ze szpilami miał jak stopa rosłego męża. Po drodze jednak psy na stado dzicze się narwały, z którymiśmy się zabawili, a potem śnieg zawiął ślad, i tyłem go widział. Ale prawdę rzec, to zgoła nie tęsknię za nim. Czasem nawet, gdy mi się przyśni, to aż się spocony budzę.

- Czy ty aby nie łżesz trochę? - zapytał książę z uśmiechem.

- Boga mi! Gdybym łgać chciał, tobym się nie chwalił, żem, prawdę rzec, uciekł. A przecie niejedną srogą stworę położyłem i łowy mi nie nowina. Ale już samowtór spotkać bym go nis chciał.

- Ja zaś chciałbym - rzucił książę podniecony. - Przyśnił ci się dziś?

- Przyśnił. Ale nie lubię i tego, bo zawsze mnie potem niepowodzenie jakoweś spotka.

- Jedyna tedy rada ubić go. Nie będzie się śnił - odparł książę, zsiadając z konia. - Pójdę ja tym zagajnikiem, może mi szczęście posłuży.

- Lepiej by psy puścić - odparł Dzierżykraj z wahaniem.

- Las nieprzejrzysty, ruszą go, to wodzić nas zacznie światami - rzekł Bolko i jął odpinać miecz, by mu nie przeszkadzał w podchodzie.

Dzierżykraj przestrzegł go:

- Ostawcie! Tu gąszcz taki, że trudno zamachnąć się oszczepem. Nawet nóż dobrze mieć pod ręką, choć co to na takiego stwora. Psiarek niech zagajnik obejdzie ze sforą. Gdyby samotnik przed nami ruszył, psy niech puści.

Książę zgodził się i czekali chwilę, aż umilkł skrzyp śniegu pod nogami odchodzącego, po czym wszyscy zsiadli z koni i oddawszy je osacznikom, kazali prowadzić za sobą, a sami zanurzyli się w gąszcz. Bolko szedł przodem o kilka kroków, a towarzysze ławą za nim. Mimo to często tracili się wzajem z oczu. Darli się naprzód mozolnie, bo śnieg był kopny, a pędy malin i ostreżyn chwytały za nogi. Stracona okiść sypała się za kołnierze i zaprószała oczy. Myśleli już, że próżny trud, gdy niedaleko przed nimi psy podniosły harmider i gon zaczął się oddalać. Słysząc było podniecone szczekanie psów oraz gniewne pochrząkiwanie dzika.

Łowcy puścili się teraz na wypródkę i wypadłszy z zagajnika, ujrzeli psiarka, który pokazywał kierunek ucieczki zwierza. Zresztą słysząc go jeszcze było. Dzierżykraj, chcąc obejrzeć trop, by stwierdzić, czy napotkali owego olbrzymiego samotnika, zapytał:

- Skąd wyszedł?

- Owo stamtąd! - odparł psiarek wskazując na skłon odległego o kilkadziesiąt kroków, porośniętego krzami pagórka.

- Dziw! - powiedział Dzierżykraj niepewnie. - Wždy wiatr z tamtej strony, tedy nie myśmy go ruszyli...

- Ludzie tam są jako wiś - wtrącił Bogusław.

- Skądże by? - rzekł książę. - Nasi nie nadażyliby jeszcze. Zresztą po śladach idąc, za nami by przyszli...

- Ludzie są - powtórzył Bogusław wskazując na kępę krzów, gdzie gałęzie poruszyły się

wyraźnie.

- Może zwierz - wtrącił Dzierżykraj bez przekonania.

- Zwierz by już... - zaczął Bogusław, ale wątpliwości rozproszył świst strzały, która śmignęła mu nad głową i trąciwszy o gałąź, wpadła w śnieg.

- Taki zwierz, co z łuku szyje - zaśmiał się Bogusław i skoczył przed siebie, ale księżę krzyknął:

- Stać! Za pnie! Koni!

Teraz wszyscy ujrzeli, jak między krzami przemknęło kilka postaci i zniknęło za pagórkami. Księżę niecierpliwie ponaglał osaczników, by konie podawali, a gdy nadbiegli, doskoczył swego, rozkazując:

- W te pędy po łowców, niech co sił za nami ciągną!

Zwracając się zaś do towarzyszy, dodał:

- A my za nimi!

-! Obejdziem zagajnik i od tyłu ich zaskoczym - rzucił Dzierżykraj, a księżę odparł:

- Prowadź, skoro bór znasz. Jeny prędzej!

-! Nie ujdą nam, bo ciężko drzeć się przez chaszczę. Ale kto by to mógł być?

- Zajedno. Albo ktoś w twoich borach kłusuje, albo zbójcy.

Dzierżykraj jeno głową kręcił, ale już konie puścili w cwał, na ile kopny śnieg pozwalał. Objechali pagórek od południa i gdy po drugiej stronie wpadli w otwarty las, ujrzeli, jak człowiek jakiś zanurzał się w gąszcz następnego młodnika. Dopadli na miejsce i Bogusław, zeskokczywszy z konia, badał ślady. Przeszło około dziesięciu ludzi. Księżę również zsiadł i chciał iść po tropach, ale Dzierżykraj zauważył:

- Łacno w gąszczu na zasadzkę się natknąć, a nijak nam nie ujdą. Jeny ich od wschodu odetniemy, a nadciągną nasi, obławę zrobimy jak na zwierza i wyłowimy do jednego.

Rada była rozsądna, tedy skrajem zagajnika puścili się na północny wschód, uważając jeno, czy wyjściowych śladów nie obaczą. W pewnej chwili Bogusław odezwał się:

- Dym zalatuje!

- Tym lepiej - odparł księżę. - Tedy na obozowisko trafimy, skąd wyszli i dokąd pewnikiem wracają.

- Może bym ja przodem poszedł obaczyć, ilu ich jest?

- Choćby i stu, starczy nas, zwłaszcza gdy z nagłą naskoczym.

W otwartym polu dziesięciu konnych rycerzy łatwo mogło sprostać i stu pieszym wojom. Inna sprawa w gęstym lesie, zwłaszcza gdy przeciwnicy zbrojni są w łuki, a z Bolkowych jeno dwóch je miało. Ale Bogusław wiedział, że z księciem gadać można, póki się nie uprze. Zaciśnięte szczęki zaś i bruzda na czole wskazywały, że zaciął się.

Na szczęście las się otworzył i wśród rzadkich pni olbrzymich drzew ujrzeli wreszcie z dala nieprzyjaciół, którzy pomykali w rozproszeniu ku północy, porzuciwszy trzy ogniska swego obozu.

- W nich! - krzyknął księżę i spiał konia, a za nim inni.

Wrogów była chmara, nie zbóje tedy ani kłusownicy. Migali między pniami i trudno ich było policzyć. Nim ich ścigający dopadli, Dzierżykraj krzyknął:

- Pomorce! Więcej ich tu musi być. Wstrzymajcie się, panie!

- Bij! - odpowiedział Bolko i już dopadł najbliższego, a rozwaliwszy mu łeb wraz z hełmem, skoczył na dalszych. Cichy dotychczas bór rozdygotał się od wrzasków, jęków i szczęku broni.

Rozproszeni ginęli, nie mogąc stawić żadnego oporu, toteż rosły, barczysty Pomorzanin, który

zdał im się przewodzić, krzykiem usiłował swoich powstrzymać i skupić. Zgromadziło się koło niego kilkunastu wojowników, lecz w tej chwili w środek wpadł książę i głos dowódcy umilkł, a gromada rozprysła się. Niektórzy broń rzucać zaczęli, prosząc się w niewolę, ale nie czas było jeńca brać. Książę z towarzyszami cięli bez litości, co widząc inni bronić się jęli z rozpaczą. Zaświstały groty i jeden z książęcych spadł z konia, ale książę nie zważał na nic.

Las rzedł, przechodząc w zarośla, za którymi prześwitywała polana. Niedobitki wpadły w krze i skryły się przed oczyma prześladowców. Bolko już zamierzał puścić się za nimi, gdy Bogusław krzyknął:

- Nasi nadchodzą!

Z tyłu widać było pędzących jeźdźców, jak zaganiają tych, co w bok wymknąć się usiłowali. Poznawszy księcia, skoczyli ku niemu. Było ich siedemdziesiąt chłopów, sam wybór młodzieży. Książę, nie odetchnawszy nawet, zawołał:

- W porę przychodźcie! Za mną!

Wparł konia w chaszczę i szukając przesmyków, popędził. Skoczyli i darli się przez krze, aż rozpostarła się przed nimi obszerna polana, położona wzdłuż brzegów bagnistego strumienia. Roilo się tam od ludzi, którzy stawali w sprawie, widocznie już przestrzeżeni odgłosami walki. Ale książę nawet się nie zawahał. Wypadłszy na otwartą przestrzeń spiął konia i runął na tłum, który zakołysał się i zakotłował.

Pomorzanie nie wiedzieli jeszcze, z jaką siłą potykać się im przyjdzie, dlatego - stawiając opór - wycofywać się jęli za rzeczkę, by się nią przed naporem osłonić. Widząc jednak, że za niewielkim hufcem jazdy, który jak gromada szaleńców wbił się w sam środek kilkutysięcznych szyków, nie nadchodzi nikt, odwrócili się i natarli spychając Polaków coraz bardziej ku lasowi. Szczupła gromadka koło księcia topniała szybko, książę nie tracił jednak ani głowy, ani ducha. Zmiarkowawszy, że Pomorzanie zabiegają od strony lasu, by odciąć mu odwrót, zawrócił na miejscu, przebił się przez cienką jeszcze ścianę wroga i wpadł w chaszczę, przed którymi zatrzymali się napierający. Gdy oddalił się od wrzawy, powściągnął konia i nasłuchiwał. Odległy, ale wyraźny dochodził od północy odgłos walki.

- Kto by to mógł być? - zwrócił się do Bogusława.

- Nasi! A kto, zajedno.

- Praweś! Tedy i my w nich. Niechże nie myślą, że z nami skończyli.

Miał przy sobie jeno kilkunastu ludzi, zmęczonych już walką, ale i Pomorzanie, nie spodziewając się powrotu rozbitego oddziału, zmierzali ku północy, skąd dochodziła wrzawa. Toteż gdy Bolko wypadł niespodziewanie, zamieszał stojących w sprawie. Ale pomiarkowali się zaraz i zajadle skoczyli na zuchwalców. Polskim wojom już ręce mdlały, księciu krew ściekała po twarzy, wszyscy częściej zbierali, niż zadawali ciosy. Książę bił się z zaciekłością i wprawą, przedzierając się z powrotem ku zaroślom, gdy nagle koń jego potknął się i choć jeździec go poderwał, legi na bok, zaplątany we własne trzewia, które wyszły z rozplatanego brzucha. Bogusław i Dzierżykraj skoczyli zasłonić pana, który wydobywał się spod konia. Gdy jeno Bolko stanął na nogach, Bogusław, podając księciu swego rumaka, krzyknął:

- Uchodźcie, panie!

- Zginiesz!

- Lepiej, że ja - odparł Bogusław.

Książę dosiadł rumaka, ale nie zamierzał opuścić towarzysza. Bogusław, widząc to, zdzielił

konia płazem po zadzie, że skoczył jak oparzony, sam zaś rzucił się na wroga.

W powrotnej drodze Skarbimir nie próbował już zmęczonym wojskiem brać umocnionego i przestrzeżonego Nakła, lecz przeszedłszy Noteć i lewobrzeżną puszcę, odprawił poznańskie rycerstwo, piesze wojska zostawił, by z wolna ciągnęły do swych grodów, sam zaś na czele krakowskiego i sandomierskiego rycerstwa pośpieszał, by nadażyć jeszcze na Dzierżykrajowe wesele. Trzeciego dnia po przejściu granicy, wieczorem, dotarł do Koła i tam od zbiegów otrzymał wieści o pomorskim napadzie. Rozpytawszy ich, pomiarkował, że księżę może być niespodzianie zaskoczony w Sieradzu, nie mieszkając tedy ruszył na noc gościńcem w górę Warty. W nocy minął Uniejów, gdzie jeno konie popasł. Przestrzegłszy grodowych o możliwości napadu, ruszył dalej i przed świtem zbliżył się do Rudy. Zatrzymawszy się rozesał podjazdy, z których jeden wkrótce wrócił z wieścią, że w lesie odgłosy walki słychać. Choć zdrożeni byli, Skarbimir sprawił zaraz szyki, poszedł lasem na głos jak strzelił i wypadł na północnym krańcu leśnej polany. Uderzył dość niespodziewanie, bo choć Pomorzanie na nogach już byli, ale uwaga skierowana była ku południowi, gdzie wrzała walka. Od klęski ocalała Pomorzan jazda, która z boku zajęchała Skarbimirowi, i zaczęli się przeganiać. Skarbimir parł ku wrzawie, by ze swoimi się połączyć, Pomorzanie zabiegali mu drogę, by do tego nie dopuścić. Nagle na polanie rozległy się głosy rogów i nieprzyjaciel ściągając się jał ku rzeczce, widno gotując się do odwrotu. Piesze oddziały przechodziły za strumień, a jazda chroniła je od uderzenia. Widząc to Skarbimir uszykował swoich w klin, przebił osłonę i wpadł na uchodzących. Co nie legło, rozsypało się, ale z lasu lunęła na nadbiegających ulewa strzał. Skarbimir, ugodzony w prawe oko, zdarł konia i spadł na ziemię.

W polskich szeregach powstało zamieszanie, niejeden koń pędził bez jeźdźca, ranne kwiczały, wyłamując się z szyku. Towarzysze porwali wojewodę i wsadziwszy na konia, ślaniającego się wiedli ku lasowi, dokąd wycofywała się jazda. W tej chwili jednak wysypywać się jęli z niego konni, a na ich czele poznano księcia. Z trzydziestu ludźmi szedł w pościg za uchodzącym nieprzyjacielem. Widząc to młody Skarbek z Gór skrzyknął Skarbimirowy huf i ruszyli w ślad.

Wojewoda leciał z konia i z bólu, i z upływu krwi. Towarzysze ułożyli go tedy na gałęziach jedliny i opatrzywszy, jak się dało, bluzgającą krwią ranę, sporządzili nosze, by go odstawić do Rudy. Gdy się tym zabawiali, las zaroił się znowu zbrojnymi. To pozostali goście weselni, chłopci okoliczni i narocznicy z Sieradza, dowiedziawszy się o napadzie, jeden przez drugiego biegli do walki. Gasła już jednak, a odgłosy jej się oddalały. Pomorzan, choć przeważających liczbą, wstrząsnęła straszliwa zawziętość garstki, z którą zrazu mieli do czynienia. W wodzu po orle na hełmie poznali samego księcia, a uderzenie Skarbimira wzbudziło w nich podejrzenie, że księżę w zasadzkę ich chce wciągnąć, gdzie znaczniejsze wojska czekają. Toteż uchodzili co prędzej, radzi znaleźć się za Notecią, by ich Bolesław nie odciął od kraju i nie wygubił.

Księżę jednak, idąc za nimi, poczuł, że i jego siły mają kres. Póki walką był rozpalony, nie zważał na rany i znużenie, które teraz, gdy przysychające rany coraz bardziej dolegały, zaczynało się przypominać. Hełm miał powyginany od ciosów, pocięty pancerz gubił łuski, potem i krwią nasiąkłe szaty oblepiały obolałe ciało, każdy ruch rozdrażniał rany.

Zatrzymał się tedy i skrzyknawszy towarzyszy, ruszył z powrotem. Liczył wojów i twarz mu mierzchła. Zapał gasł, a ogarniać go zaczynało przygnębienie. Sponad setki ludzi swej przybocznej drużyny, wyboru najznakomitszej młodzieży całego kraju, wśród których nie brakło towarzyszy od dziecięcych lat, nie widział ni trzydziestu. Płacz pójdzie po dworcach i grodkach. Najbardziej jednak ścisnęło się Bolkowi serce na myśl o stracie Bogusława... Jedyne było u starego Bończy z Sulikowic.

Niczym ojcu za tę stratę odpłacić.

Gdy jednak wyszli na polanę, na której roilo się od ludzi nadbiegających zewsząd do księcia, wśród pierwszych poznał druha. Cały był, nawet nie draśnięty, jeno hełm gdzieś stracił, a jasne włosy, pozlepiane od potu, pociemniały. Ale śmiał się już z dala, tak że księżę mimo przygnębienia też musiał się uśmiechnąć.

- Całyś, jucho? Niechże cię! - zawołał Bolko zeskakując z konia i biorąc Bogusława w objęcia. Zwracając się zaś do wojów, którzy otoczyli ich tymczasem, dodał:

- Jemu dzięki całom wyszedł, bo gdy mój koń padł, swego mi dał, a sam ostał na zgubę. Złotego mu odlać każę, na pamięć jego czynu.

- Nie widać, byście cało wyszli - zaśmiał się Bogusław - bo pancerz macie, jakoby kto rybę oskrobał. A po złotym koniu co mi? Ani na nim jeździć nie będę, ani za znak nie wezmę, bo go już Zaprzaniec nosi, ani z moim Jednorożcem nie para. Zwólcie mi dowodzić na wyprawie, to rad będę.

- Niczego ci nie odmówię, czego ino zażadasz. A ninie rannych opatrzeć, a pobitych zebrać i do Rudy wracamy.

W lesie, który od świtu huczał wrzawą walki, powracał spokój. Ku schyłkowi miał się krótki dzień zimowy, chmurne niebo siało przedwczesny zmierzch. Biel śniegu szarzała, zarysy ludzkich zwłok i końskiego ścierwa zacierały się, przypominając pniaki na karczowisku. Kałuże krwi szerniały. Gdy w dali umilkły głosy odchodzących, najlżejszy szmer nie mącił już głuchej ciszy. Spłoszony, płowy i czarny zwierz uszedł daleko i nieprędko wróci, bo ze wszystkich stron sunęły bezszelestnie szare cienie. To schodziły się wilki na ucztę, która długo będzie trwała, bo żeru była obfitość. Ciemne niebo, zasnute śniegowymi chmurami, przyniżało się i białawy mrok gęstniał. Snuły się w nim jak błędne ogniki pary wilczych świeczek. Potem zrazu pojedyncze, lecz z każdą chwilą gęstniejące płatki śnieżne spływać jęły cicho na skalane podłoże lasu, otaczając go nieprzejrzystą, białą zasłoną i zaścielając pobojowisko śnieżnym całunem.

We dworcu natomiast w Rudzie powrócił gwar, który rozbrzmiewał w nim od tygodni. Jeno już nie weselny. Miast śpiewów i gęśli słyhać było jęki rannych, płacz niewiast i głosy rozkazów. Wieść o napadzie już się rozniosła i zewsząd przybywali woje, konno i pieszo, a że miejsca brakło w zabudowaniach, stawali przy ogniskach, tak że dworzec jak wielki obóz wyglądał. Mało kto brał się do wypoczynku. Ci, którzy w walce nie wzięli udziału, ciekawi byli dowiedzieć się o jej przebiegu. Młodzież rycerska i prości woje nie trapił się, wynosząc pod niebo męstwo Bolesława, przez które wielekroć liczniejszy nieprzyjaciel chwalebnie został odparty, ponosząc ogromne straty. Starszyzna jednak siedziała zgryziona i ponura. Dla możnowładców, których synowie i krewniacy stanowili trzon drużyny książęcej, walka ta była klęską. Kwiat i nadzieja najmożniej szych rodów leżał teraz na dziedzińcu przed kościołem długim szeregiem jak ścięty pokos zboża, a zeszywniałe już zwłoki pokrywał śnieg, zanim je zmarznięta ziemia pokryje. Niejeden z nadjeżdżających znajdował między nimi syna czy krewniaka. Gdyby nie było powszechnie wiadome, że księżę sam siebie najmniej oszczędzał, o czym świadczyły liczne ciosy, jakie odebrał, trafem jeno nie odnosząc żadnej niebezpieczniejszej rany, wzburzenie mogło się przerodzić w bunt. Wyżalali się jednak między sobą, gorzko utyskując na zapalczywość Bolka, która tyle krwi kosztowała i której sam omal nie padł ofiarą.

Skarbimir jednak nie zapomniał, że on księcia wojny uczył, a ośmielony jeszcze przez dawniejsze i świeże zasługi, nie zataił przygany. Bolko, jeno obmyty z krwi, choć bolały go wszystkie członki, nim udał się na posiłek i spoczynek, zaszedł do wojewody, o którego przygodzie w dworcu

dowiedział się dopiero. Skarbimir leżał sam w komorze, którą mu Dzierżykraj odstąpił. Twarz miał szarą z bólu i wargi spieczone gorętwą, ale przytomny był i nawet o zakończenie bitwy rozpytywał. Gdy księżę nadszedł, usiłował się dźwignąć, ale Bolko przytrzymał go ręką, mówiąc:

- Nie jako pan do poddanego, ale jako do druha druh przychodzę uzalić się nad wami i dowiedzieć, jako się czujecie. Leżcie tedy spokojnie.

- Wdzięcznym za pamięć - odparł wojewoda. - Żal oka, ale to wojacka dola. Kto się chce do cudzej skóry, dobrać, musi swoją stawić. Jeno nie stoi zajęcza za niedźwiedzią. Jam oka darmo nie stracił, bo choć nie wypominam, ale gdybym nie nadszedł, nie wiem, załibym was jeszcze żywym oglądał. A czyż ja wam mówić muszę, co by się stało, gdybyście wy życia zbyli? Co jest cnotą wojaka, wadą być może wodza, jeśli męstwu swemu nie umie nałożyć wędzidla.

- Ostawcie! - odparł Bolko niechętnie. - Nic to! Rany się zagoją, a zwycięstwo zwycięstwem ostanie.

- Rany się zagoją, ale polegli nie wstaną. A gdyby nie porywczosć wasza i tak napad byśmy odparli, dostateczne siły zebrawszy.

- Wždy Pomorców na łowach spotkałem. Cóż mi czynić było?

- Uchodzić. Nie ma hańby, gdy garstka ustąpi przed tysiącem.

Bolesław zmarszczył czoło i odparł zawzięcie:

- Nigdy i przed nikim na własnej ziemi nie ustąpię, nawet gdybym nie miał za sobą nikogo. A ci, co szli za mną, też darmo nie oddali żywota. Nie wojaków mi żal, jeno druhów, bo po to krew rycerz ma, by ją wylewać. Niewolników to korzyść, że krwi przelewać nie muszą. jeno pot. Żle będzie dopiero wtedy, gdy korzyści i zaszczyty rycerskiego stanu opasłym gnuśnikom przypadną.

Znużone oczy księcia rozplomieniły się. Wstał i zakończył:

- Kto pierwszy w boju, pierwszy wszędzie. Com zrobił dziś, powtórzę zawždy. Z Bogiem ostajcie!

Bolesław, nie doleżawszy nawet rana, zerwał się i szykować jął nadciągające zewsząd wojska w pościg za uchodzącymi Pomorzanami, by odpłacić za napaść. Pobiegli gońce do pogranicznych grodów z ostrzeżeniem i rozkazem, by załogi wyszły i drogę im zaskoczyły. Nim słońce wzeszło, wojska już stały w gotowości, a księżę właśnie pożywiał się przed drogą, gdy do świetlicy wpadł Bogusław, widocznie czymś poruszony.

- Czego? - zapytał księżę, patrząc życzliwie na młodego rycerza.

- Przedślaw pono żywie.

- Skąd wiadomość?

Księżę był zaskoczony. Bogusław odparł:

- Wzięliśmy, wiecie, garść jeńca. Jest między nimi Bars z Wołogoszczy, krewniak kołobrzeskiego Borchy. Prosił się, by go za Przedślawą wymienić. Pobiegłem zapytać. Tyle wie, że Borcho rannego kazał leczyć i na wymianę go trzyma.

- Trzeba się będzie sposobną porą przez kupców wywiedzieć, zali prawda. Ninie każ tego Barsa opatrzyć, by nie zdechł, i pilnować, by nie zbiegł. A teraz ruszamy.

Księżę z jazdą szedł gościńcem wzdłuż Warty, by uchodzącym Pomorzanom przeciąć drogę, piesze zaś wojska pod wodzą Zaprzańca iść miały w ślad nieprzyjaciela. Księżę nie gnał koni, by się nazbyt nie oddalić i pieszym dać czas nadążyć, gdy zacznie się bitwa. Toteż dopiero koło południa dotarli do Uniejowa, gdzie czekała wiadomość, że znowu od czeskiej strony napaść się gotuje. Czesi wiedzieć musieli o pomorskim najeździe i widno nadzieję żywili, że na bezbronny kraj napadną.

Książę zasumował się. Odsuwał od siebie podejrzenie, że znowu Czesi przez Zbigniewa musieli otrzymać wiadomość, ale gdy starszyznę zwołał na naradę, wszyscy niemal zaczęli przebąkiwać, że Zbigniew jest w zмовie z Pomórzanami, którzy dary z nim wymieniają, a jeśli się zdarzy przez omyłkę, że w jego dzielnicy łupy i jeńców wezmą, to mu zdobycz bez nijakiego zwracają wynagrodzenia.

Bolko słuchał niechętnie i przerwał:

- Ninie nie o Zbigniewie nam radzić, jeno co poczynać.

- Ważniejsze własnego kraju od najeźdźców bronić, niż pobitego nieprzyjaciela ścigać - odparł Żelisław.

- Broni się kraju nie jćno w granicach - rzucił Boiko. - Tedy jedno pozostaje: niech Zaprzaniec za Pomorcami idzie, my zaś ku Czechom podemknijemy, na najeźdźcę paści zastawić. Starczy sił Zaprzańca na pobitych, a naszych na nieprzygotowanych.

Wstał Krzywosąd Niesobia, który we wczorajszej bitwie syna utracił. Pomarszczona jego twarz zarumieniona była wzburzeniem, żyły wystąpiły na czole. Widać było, że ledwo się hamuje. Nie czekając nawet na przyzwolenie, zaczął:

- Jesteś, panie, podczaszym krwie naszej. Hojnie nią szafujesz. Ale że i własnej nie szczędzisz, tedy pójdziem za tobą, choćby w setkę na tysiące, jak poszedł syn mój. Jać i siebie żałował nie będę, skoro syna oddałem. Ale mam prawo rzec: za nic największe męstwo, za nic największe ofiary, jeśli zdrada za nimi pełźnie jak żmij w trawie. Aż dotąd nazbyt cierpliwie znosiliśmy w kraju zdradę i szkody. Teraz zaś nazbyt jasno widzimy we wrogach ukrytych - jawnych, w spiskach tajemnych - odkryte. W naszej to obecności nie raz i nie trzykroć przysięgał wam Zbigniew, na hańbę bratem waszym się mieniący. Przyjacielem jest wrogów, wrogiem przyjaciół. Nie dość mu, że nie dostarczył zaprzysiężonych posiłków, ale gdy my z wrogiem walczymy, on innych podburza, by z drugiej strony wpadli w polskie granice. Nie jeno wam, ale całemu krajowi urąga, na podeptanie wrogowi wystawiając ojcowe dziedzictwo, którego nie jest godzien. Ani bratu nie dochowuje przysięgi, ani sławy kraju nie broni, ani o zagrażające szkody i klęski się nie troszczy. Takimi to drogami zmierza do podwyższenia siebie. Niechże upadek jego będzie przestrogą dziś i w pokolenia, że w jednym królestwie nie może być dwóch współrządców. Oto gdzie nam najpierw uderzyć.

Bolko słuchał chmurny, z zaciśniętymi ustami. Inni milczeli, ale milczeniem zdali się potwierdzać to, co mówił Krzywosąd. Zresztą i książę wiedział, że póki się z bratem nie rozprawi, nie będzie spokoju. Ale myślał o tym z niechęcią, odkładając postanowienie. Dlatego i teraz rzekł:

- Czy napuścił na nas kto wroga, czy wróg sam idzie, jednako odegnać go trzeba. I knowania się skończą, gdy nie będzie z kim knować.

- A tymczasem najlepszą krwią płacić za nie musimy - warknął Krzywosąd.

Książę udał jednak, że nie słyszy, i wstając, zwrócił się do wodzów:

- Radzić nad tym czas, gdy powrócimy. Ninie w drogę, bo wróg czekał nie będzie, a szmat jej przed nami.

VIII CIEMNE SPRAWY

Długi wąż jazdy pełznął z powrotem do Sieradza, by odeprzeć grożącą od Moraw napaść, zaś do Zaprzańca pędził samotrzeć Bogusław niosąc wieść o tym, co zaszło, i rozkazy od księcia. Dopadł go wkrótce, bo Zegota wolno szedł, obawiając się zasadzki, a i Pomorzanie szybko poruszać się nie mogli, zmuszeni trzymać się bezdroży.

Spełniwszy polecenie, Bogusław zawrócił i wieczorem dotarł do Rudy. Konie mając pomęczone, postanowił przenocować, by rankiem dognać wojska. Powitał go Dzierżykraj, któremu księżę przy młodej małżonce zostać kazał. Gdy się rozgadali, Dzierżykraj zmieszany opowiedział, że Barsa ktoś ubił. Prosząc, by go Bogusław sprawił przed księciem, mówił:

- Zamknąć go kazałem w komórce koło stajen i, prawdę rzec, zabyłem o nim, bo ani wiem, gdzie mi głowa stoi. Ni garści sieczki dla koni, ni do gęby co włożyć, jak po najeździe, a rannych mi tu ostawiono, co się ich ruszyć nie dało, i samże Bars na nogach ustać nie mógł, tedy i pilnować nie było potrzeby. Ale przed wieczorem zaszedłem do niego obaczyć. Mroczno już, ale widzę, leży, jeno mnie tknęło, że się nie poruszył. Myślałem: śpi, aliści coś oddechu nie słyhać. Dotykam i widzę, że martwy już, choć ciepły. Myślałem, że od ran doszedł, i ludzi zawołałem, by go pod kościół do innych wynieść, co ich jutro z rana pogrześć mamy. Ale gdy ściągali go z wyrka, patrzymy, a tu bajoro krwi pod nim. Ktoś ci go nożem w samo serce pchnął. Dojdźże tu kto, kiedy się tysiące wojska przez dworzec przewaliło i coraz to zjeżdżają na pogrzeb krewniacy i swojacy poległych. Może go który z pomsty ubił za syna czy brata. Powiedzże księżęciu, jak i co i żem niewinowaty, juści, że się nie rozedrę.

- Przedśława mi żal, bo za niego miał być wymieniony - odparł Bogusław.

Zamyślił się nad czymś, a Dzierżykraj odparł:

- Może Przedśława za innych wymienią. Zresztą, ani chybi, na Pomorze wkrótce znowu pociągniem, tedy go bez wymiany odbierzem.

- Ciężki być musi każdy dzień w niewoli - powiedział Bogusław. - A nie wiem, zali prędko na Kołobrzeg pociągniem. Nie brak innej roboty, a siły znaczniejsze zebrać trzeba niż za pierwszym razem.

Bogusław nie mógł pozbyć się domysłów, jakie mu nasunęła śmierć Barsa. Coś było w sprawie niejasnego. Kto by tam mścił się na rannym i bezbronny jeńcu księżęcym. Jeszcze gdyby się gniewnemu czy rozzalonemu nasunął na oczy, może by go i ubił, ale chyłkiem szukać zamkniętego w komorze, jeno z rozmysłem można było. Księżę jednak zbyt wielkimi i ważnymi sprawami myśli miał zajęte, by mu je drobnymi zaprzętać.

Straty poniesione w leśnej bitwie doprowadziły niemal do buntu najprzedniejszych rodów rycerskich, których synowie położyli w niej głowy. Jak przedtem powszechnie miano za złe Zbigniewowi, że się z Pomorzanami zmawia, tak ninie niejeden w przymierzu z nimi widział jedyną drogę do uchronienia kraju przed napaściami, które wyniszczały spokojną ludność, a rycerstwo rodowe osłabiały przez ciągły upust krwi. Bolko tedy, choć wbrew sercu, nie widział innego wyjścia

niż ofiarowanie bratu pierwszeństwa, w nadziei, że Zbigniew, uzyskawszy to, do czego widocznie zmierzał, przestanie wrogów na własny kraj naprowadzać.

Zbigniew jednak, sam wiarołomny, nie wierzył w szczerość brata. Posłów jego uwięził, pewniejszy będąc panowania, gdy z obcą pomocą wygna Bolesława i polski tron lennem z cesarskich rąk otrzyma. A właśnie skończyły się w Niemczech wewnętrzne walki. Stary cesarz 1, opuszczony przez wszystkich, na rozkaz syna odarty z oznak swej godności przez arcybiskupów Moguncji i Kolonii, zmarł w poniewierce i nawet ciało jego nie znalazło spoczynku; Henryk zaś, piąty tego imienia, wzorem ojca kupczyć zaczął lennami, sprzedając swoje i nie swoje lub po dwakroć to samo, byle zapełnić wyczerpany wojną i nieładem skarb, bo pieniędzy pilnie potrzebował. Zbigniew postanowił z tego skorzystać.

Ciężki jest każdy dzień niewoli, a Przedśław już ich nawet nie liczył. Póki żyła stara Dobiesława, współczucie jej i opieka lżejszym czyniły żywot, który mimo tego ciężył mu kamieniem. Gdy po wielu miesiącach, wyschły i szerniały, zwłókl się wreszcie z narów, stara rzekła:

- Podziękujcie waszemu Bogu, że wam żywot ocalił i powrócił zdrowie.

Przedśław patrzył ponuro na drewniany kikut, który dostał w miejsce nogi. Odparł:

- Dziękować nie mam za co. Cóż bym gorszego życzyć mógł temu, co mnie okaleczył, niż takiego żywota, jaki mnie ostał?

Dobiesława, nic nie rzekłszy, do kądzieli się wzięła.

1 Mowa tu o cesarzu Henryku IV, który sprawował rządy w latach 1056-1106; zarówno panowanie Henryka IV, jak i panowanie jego następcy Henryka V (1106-1125) było wypełnione walkami z papieżem, dążącym do uniezależnienia Kościoła od władzy świeckiej, i wojnami domowymi, w których cesarze walczyli z książętami niemieckimi o utrzymanie i umocnienie władzy centralnej. Z walk tych Cesarstwo wyszło całkowicie rozbite, Kościół uniezależnił się, a znaczenie i potęga książąt niemieckich niepomiernie wzrosły. Dłuższy czas jeno cichutko warczało wrzeciono. Przedśławowi zdało się, że ją uraził, i podjął:

- Nie Bogu mi dziękować za żywot, którego bym zbyć wolał, jeno warn, coście jak matka koło obcego i wroga chodzili.

- Tedy i mnie nie dziękujcie. Nie dla was to czyniłam. Łacniej mi tak było myśłą za moim lecieć. Może i on tam gdzieś miłosierne serce znalazł. Nie ja jedna taka, co miłować musi, a nie ma kogo. Gdyście o dziatkach swych prawili, nieraz sobie wystawiałam, że to moje wnuki. I może są gdzie na świecie, może synaczek mój niewiastę tam pojął, choć w jarzmie szczęście swoje naszedł. Może i starą macierz wspomni i wnukom opowie o niej. Lepiej mi tak, niż nie mieć o czym i pomyśleć. A cóż wy? Macie kogoś, kto na was czeka. Ma po co żyć, kto może więcej stracić, niż już stracił.

Przedśław zaśmiał się gorzko.

- Juści! Jeszcze mi jedna noga ostała. A miast dziątek - zgryzota. Żywią bez rodzica, nie ma komu zadbać o nie. Pewnie już mnie zabyły, bo małe to było jeszcze. Gdybym i wrócił, nie poznają. Zajedno, jakbym je stracił.

- Byście w złą godzinę nie wyrzekli. Mówią, że mąż mędrszy i mocniejszy od niewiasty. A zawżdy żyć chce tym, co było, nie tym, co jest i będzie. Przeszłość umiera każdej chwili, nijak z nią żyć jak z trupem.

Przedśław głową kiwał.

- Tak ci ono i jest! Jakbym własnego trupa nosił. Wojakiem byłem, jak niemal pamięcią sięgnę. Wojaka ubito...

Niewiasta westchnęła. Darmo było pocieszać. Żelazo można przekuć, kamienia - nie.

Choć zdało się Przedślawowi, że źle mu tak, iż gorzej nie będzie, ściśnięte serce skurczyło się jeszcze, gdy jednego ranka długo i na próżno czekał na zjawienie się Dobiesławy. Chodził już niezgorzej na swej kuli, tedy zebrał się wyjść na podwórzec. Parobek, który konie poił, krzyknął na niego, by wracał, ale choć Przedślaw nie nawykł jeszcze do tego i żółć mu się obróciła, zmilczał, bo niespokojny był o starą. Przełknął z trudem upokorzenie i rzekł:

- Jeno dowiedzieć się chciałem o Dobiesławę.

- Już się śmieje do powały, jakby synaczka swego tam widziała - odparł drwiąco, przez ramię, zagadnięty i wrócił do swej roboty, a Przedślaw do izdebki.

Siedział sam do wieczora i rozmyślał. Stara dobra była, może dlatego, że mądra. Prawdę mówiła, że ma po co żyć ten, kto może jeszcze coś stracić.

Dla Przedśława strata większa była nawet, niż mu się zrazu zdało. Teraz nie dbał o niego nikt. Przez dwa dni nawet jeść mu nie dano. Myślał, że go zamorzyć chcą głodem, ale twardy był i nie próbował już wyjść. Wolał śmierć od upokorzenia. Leżał na narach i patrzył w powałę. Tak go trzeciego dnia zastał Borcho, który sobie o jeńcu przypomniał. Wszedł jak do stajni, przez chwilę milcząc patrzył na leżącego, potem zapytał oschle:

- Wstać nie możecie?

Przedślaw w porę przypomniał sobie życzliwe przestrogi Dobiesławy, choć krew uderzyła mu do głowy. Odparł nieswoim głosem:

- Mogę.

- Tedy wstać, bo nie z równym gadacie.

Przedślaw zacisnął zęby, ale dźwignął się z wyrka. Borcho patrzył na niego, jakby konia szacował.

- Na przedaj na nic - mruknął do siebie. - Krewniaków macie?

- Mam.

- Niezbyt o was stoją, kiedy i nie zapytał nikt. Gdzie żywią?

- Nad Odrą, koło Głogowa.

- Z wiesny kupcy z solą tam pojadą. Możecie po wykup posłać. A ninie darmo żreć nie będziecie. Ręce macie zdrowe. Nie chciało mi się o to ze starą babą, co we łbie miała pomieszane, wadzić. Ale teraz koniec. Ludzi mi brak do checzy przy rąbaniu drzew. Od jutra pójdziecie na Słoną Górę.

Przedślaw poszedł na Słoną Górę, a raczej łodzią pojechał, gdyż warzelnia Borchy położona była na północnym krańcu wyspy oblanej ramionami Prośnicy. Tam dopiero miał poznać, co to jest niewola u możnowładcy. Od świtu do zmroku za nędzną strawę i wyzwiska rąbał drwa, których nigdy dość nie było, bo sól - to pieniądz, a solanki nie brakło, jeno opału nastarczyć nie było można. W nocy wraz z innymi niewolnikami spał zamknięty w szopie. Ciężki jest każdy dzień niewoli, a upłynęło ich wiele i zdały się nie mieć kresu.

Gdy wiosną lody puściły, nastąpiła pora wyjazdu kupców z towarem w górę Odry. Przedślaw oczekiwał wiadomości od Borchy, choć i do tego nie przywiązywał żadnej nadziei. Wykupić się nie miał za co, prosić swojaków nie chciał.

Borcho jednak jakby zapomniał o sprawie, a może potrzebni mu byli niewolnicy, Przedślaw zaś, przyszedłszy cokolwiek do siebie, z tą samą wprawą rąbał drwa, co dawniej łby. Gdy nadeszło skwarne lato i wody poopadały, nie czekał już więcej na sposobność, by rodzinę o swym losie uwiadomić. Przestał myśleć o wolności.

Z dziwnym natomiast uporem myślał o niej Bogusław, choć Przedślaw ni brat mu był, ni swat i niemal się nie znali; może dlatego, że czuł, iż sam jak wróbel ni dnia w klatce wyżyć by nie zdołał. Nawet na miejscu wysiedzieć nie umiał i wprosił się w poselstwo na Węgry, które Krzysztof Łabędź wiódł z prośbą o posiłki. Bolko bowiem widząc, że układami żadną miarą z bratem nie dojdzie do ładu, siłą skończyć z nim postanowił; jeno jej nie miał. Wezwał przeto na pomoc węgierskiego Kolomana, przyrzekając mu w zamian odstąpienie buntowniczego Almusa oraz wzajemne poparcie przeciw Czechom i Niemcom. Posłał także do włodzimierskiego Jarosława. Sam zaś po powrocie z Moraw siedział we Wrocławiu, skąd prowadził układy z Borzywojem, chcąc - wobec zamierzonej wyprawy na brata - od czeskiej strony się ubezpieczyć, i tam zwołał zjazd rycerstwa.

Łabędź, sprawiwszy pomyślnie poselstwo, wracał na Kłodzko, a gdy minęli śląską granicę, wysłał przodem Bogusława, któremu już dłużyła się podróż, ze sprawozdaniem z poselstwa do księcia, bo sam przed wyznaczonym zjazdem chciał się jeszcze w domu zatrzymać. Jechał tedy Bogusław z dwoma jeno towarzyszami dość sporo, bo ciepła już pora podsuszyła drogi i na noclegi nie trzeba było szukać gospody. Minawszy Racibórz, zanurzyli się w lasy pełne już wiosennych barw i woni i Bogusław jechał rad z siebie, z podróży i z całego świata. Aż go roznosiła ochota do wszystkiego, od rana czekał na jakieś pomyślne zdarzenie, którego tak był pewien, że konia wypuścił w cwał, jakby chcąc spotkanie z nim przyspieszyć. Towarzysze śmieli się z niego i człapali za nim, gwarząc, a wkrótce stracili go z oczu.

Bogusław jednak, minawszy zakręt drogi, musiał powściągnąć rumaka, bo całą niemal jej szerokość zatarasował konny poczet nadciągający naprzeciw. Na czele jechał okazały mąż w sile wieku, w pełnej zbroi, jeno miast hełmu miał pątlak na głowie, hełm zaś wraz z tarczą zawieszony był na łąku u siodła. Bogusław, mijając go, pochwalił Boga, gdy nagle spojrzenie jego padło na tarczę. Ściągnął konia. Na tarczy na białym polu widniał złoty lew z kołem w łapach. Bogusław poznał znak Prawdziców i porywczo sięgnął do miecza. Opamiętał się jednak, pomnąc, że nosi pas i bez zapowiedzi walczyć mu nie przystoi, zresztą przeciwników jest zbyt wielu. Zawrócił tedy konia i skłoniwszy się układnie przed rycerzem, zagadnął:

- Jam jest Bogusław Dobiesławic. Ślubowałem, że pierwszego Prawdzica, jakiego napotkam, bez pół rozetnę. Tedy pokornie was proszę, byście mi pole dać raczyli.

Na twarzy nieznanego zjawiło się gniewne zmieszanie, ale odparł obojętnie:

- Nic mi do waszych ślubów, a na gościńcu jeno zbóje spokojnych podróżnych napastują. Tedy zechciejcie odstąpić, bo was w pęta wziąć każę.

Bogusław widział, że z przewagą miałby do czynienia, choć pocztowi zbrojni byli nietęgo. Jednocześnie uderzyło go, że orszak zmierzał ku czeskiej granicy. By zyskać na czasie, póki nie nadciągną towarzysze, rzekł pogardliwie:

- Temu, co się boi, każdy pozór dobry, by się od walki wymigać.

Nieznanomy poczerwieniał ze złości, powiedział jednak dostojnie:

- Choćby był czas i miejsce po temu, żadna sława pasowanemu rycerzowi potykać się z gołowąsem.

Trącił konia, by minąć Bogusława, który jednak uchwycił za wodze, mówiąc:

- Nijak mi czekać, aż wąs urośnie, ale pas i ja noszę, tedy żadna wam ujma ze mną się potykać.

To mówiąc odsłonił kubrak, ukazując pas rycerski. Nieznajomy burknął gniewnie:

- Bolko takich, jak sam, mydłków na rycerzy pasuje. Ale dam wam pole, jeno nie dziś i nie tu, bo ważniejsze mam sprawy.

- Bym mógł uznać, czy ważniejsze, musiałbym wiedzieć jakie - odparł Bogusław.

Nieznajomy za miecz ułapił i krzyknął ze złością:

- Odstąp, młokosie, bo miecza posmakujesz!

- Wždy nic innego nie chcę - zakpił Bogusław i wyciągnął swój, ale widząc, że pachołkowie obstepują go dokoła, szarpnął konia w tył, by nikogo nie mieć za plecyma, i stał gotów do bitki. Rycerz jednak krzyknął:

- W konie!

Żgnął konia ostrogą i z miejsca puścił go w cwał, a za nim inni, zastawiając Bogusławowi drogę. Skoczył za nimi i strącił dwóch najbliższych, co widząc pozostali w las zaczęli uskakiwać, ale Bogusław ani spojrział, jeno gnał, by dopaść przywódcę, który, konia mając rączego, znacznie się już odsądził. Bogusław jednak nie lękał się, że mu ujdzie, musiał bowiem wpaść na jego towarzyszy, tedy baczył jeno, kiedy się ukażą. Gdy znagła wyłonili się zza małego wzniesienia, wrzasnął:

- Trzymaj!

Dopadł do nich, gdy szamotali się z uciekającym. Bogusław z tyłu za rękę go uchwycił i wykręciwszy wyłuskał miecz z jego dłoni, towarzysze zaś przytrzymali go za ramiona. Przestał się ciskać, jeno sapał gniewnie i patrzył ponuro na napastników. Burknął:

- Puśćcie mnie na rycerskie słowo. Stawię się, gdzie i kiedy każecie.

- Ba! - zaśmiał się Bogusław. - Szczerze mówiąc, od pacholęcia nikt mnie cierpliwym nie nazwał. Ale poczekam... aż się księciu Bolkowi sprawicie, dokąd i po co jeździcie tędy. Zda mi się, że Zbigniew coś by o tym wiedział...

Poj many niespodzianie wyszarpnął się i zeskoczywszy z konia wpadł w las. Ale Bogusław szybszy był od niego. Dognał go zaraz i podłożywszy mu nogę, obalił na ziemię. Ręce kazał mu związać, wyprowadził na gościniec i powiedział:

- Zaraz obaczymy, czemuście to z księżciem mówić tak nieradzi, że aż konia zacnego poniechać chcecie.

Obszukał torbę zawieszoną przy siodle i wyciągnął dwa kawałki pergaminu z pieczęciami. Obejrzał je i powiedział z uśmiechem:

- Pieczęcie księcia Zbigniewa. A do kogo pisane, pergaminy same powiedzą. Tedy mógłbym się nawet i wami ninie potykać, gdyby nie to, że śmierć od miecza fs. dobra dla zdrajcy. Tak myślę, że księżę Bolko ze skóry c?bedrzeć was każe. Ja zaś sobie innego Prawdzica poszukam, którego bym bez pół przeciął. Uparty nie jestem.

:

IX

WYMOWA MIECZA

Przejęte przez Bogusława pisma Zbigniewa do czeskiego Borzywoja i cesarza Henryka wywołały burzę gniewu przeciw zdrajcy, gdy je książę odczytać kazał na zjeździe. Szczególnie zajadło się drobne śląskie i wielkopolskie rycerstwo, na którego skórze knowania Zbigniewa odbić się miały. Zbigniew obietnicą trybutu ze Śląska i pomocy przeciw Świętopelkowi usiłował nakłonić Borzywoja, by przenieśc zerwał zawarty z Bolesławem rozejm i najechał Śląsk, gdy on sam z Pomorzanami wpadnie do zachodniej Wielkopolski. Cesarzowi zaś przyrzekł złożyć hołd lenny z całej Polski oraz posiłki na wyprawę.

Widząc zapal do walki, Bolko wołał na przyrzeczone z Rusi i Węgier posiłki nie czekać, zwłaszcza że przestrzeżony już przez donosicieli Zbigniew gromadził siły w podległej sobie części Wielkopolski, koło Gniezna i innych grodów. Bolesław ruszył wprost na północ, dając pozór, że uderzyć na nie zamierza, w pół drogi jednak skręcił nagle na wschód, nocą dotarł pod Kalisz i ze świtem przeszedłszy Prosnę, otoczył zewsząd położony na ostrowiu gród, którego szczupła i nieprzygotowana na odparcie napaści załoga, widząc zajadłość i przewagę liczebną oblegających, po dwu dniach poddała się. Bolesław zaś tymże rozpędem ruszył ku Warcie na Uniejów. Nocą niespodzianie wpadł do Spicymierza, gdzie zatrzymał się arcybiskup Marcin, przed spodziewanym obleżeniem uchodzący z Gniezna. Arcybiskup ciskał się i odgrażał, domagając się rozmowy z księciem, ale Bolko nie chciał z nim mówić, zanim sprawy ze Zbigniewem nie skończy, słusznie mniemając, że arcybiskup nalegać będzie, by uszanował ostatnią wolę ojca, i jak ongiś narzuci mu swe pośrednictwo w układach ze Zbigniewem, w których dotrzymanie nie wierzył. Uważał zresztą Marcina za cenny zakład w swym ręku przeciw wyższemu duchowieństwu, które stało po stronie Zbigniewa. Z wszelką czcią, ale pod strażą polecił Marcina do Krakowa odstawić, po czym ruszył na Łęczycę. Zajął ją bez oporu, bo przestrzeżony już Zbigniew widząc, że został odcięty od głównej swej siły, uszedł za Wisłę. Z Łęczycy Bolko polecił Skarbimirowi ze znaczną częścią wojsk na Gniezno uderzyć, sam zaś czekał na posiłki, by ruszyć za Wisłę i Zbigniewa w Płocku dosięgnąć. Po nadejściu Węgrów przeszedł na prawy brzeg, ale oporu nie spotkał. Zbigniew bowiem, gdy Gniezno się poddało, widząc, że sprawa już przegrana, zbiegł do Jarosława. Przedstawiwszy mu niebezpieczeństwo wzrostu potęgi Bolesława w razie opanowania całej Polski, zapewnił sobie wstawiennictwo ruskiego księcia w sporze z bratem. Może i krakowski biskup Baldwin tego się obawiał, doradzając Bolkowi pojednanie ze Zbigniewem. Przeważyło jednak w tej sprawie ostatecznie zdanie Skarbimira, który przedstawił księciu, że gdyby wygnąć Zbigniewa, jak niektórzy zawziętsi radzili, ani chybi do cesarza się uda i jego pomoc uzyska. Do rozgrywki zaś z cesarzem Bolesław nie czuł się jeszcze na siłach, trzeba było wpierw z Pomorzem kończyć. Jako pan całej Polski i wielki książę, przyjął tedy hołd od Zbigniewa, oddając mu w lenno Mazowsze z warunkiem dostarczenia posiłków na pomorską wyprawę i zburzenia grodu w Kurowie, który strzegł przeprawy przez Wisłę. Osadziwszy przychylnego sobie biskupa Szymona na płockiej stolicy, Bolesław ruszył z powrotem do Wrocławia, dokąd wzywały go pilne sprawy czeskie. Strącony bowiem z praskiego

tronu Borzywój wraz z bratem Sobiesławem uszli do Polski, a wraz z nimi niedobitki rodu Wrszowców, który Świętopelk zniszczyć postanowił.

Chociaż więc sprawy czeskie układały się pomyślnie, Bolesław jechał do Wrocławia zgryziony, że mając zewsząd ręce związane, nie zdołał raz na zawsze skończyć ze Zbigniewem, którego przysiędze już nie ufał.

Bogusław chodził koło Bolka, widząc, że ksiązę zaciął się w milczeniu. Wreszcie nie mógł wytrzymać i zapytał:

- Teraz zaś chyba rychło będę mógł swoją pieśń zanucić?

Bolesław patrzył przez chwilę w zamyśleniu na ulubieńca, po czym odparł:

- Będziesz mógł. Póki nie skończym z Pomorzem, nie skończym z knowaniami. Ale dość mi już krew tracić na marne.

- Tak myślę - odparł Bogusław - że ksiązę Zbigniew pomiarkował, iż z nami nie wygra. Jako i nikt - dodał z przechwałką.

Bolesław uśmiechnął się mimo woli, ale zaraz twarz mu zmierzchła i dorzucił ostro:

- Nijaki on ksiązę. Lennik mój, którego, jeśli zechcę, zegnam z dzielnicy. Niechże tedy strzeże mej łaski... jak oczu w głowie.

Bogusław wiedział, że Bolko nie zwykł grozić po próżnicy. Ale Zbigniew o tym nie myślał. Miał jeszcze licznych i potężnych stronników wśród wielmożów, którym nie na rękę było wzmocnienie władzy ksiązęcej, oraz cesarza w odwodzie. Ale i Bolko nie zasypiał sprawy. Głowę gniazda Turzynów, wojewodę Magnusa, przeciągnął na swoją stronę, arcybiskupa Marcina zaś, za którym stała przeważna część wyższego duchowieństwa, dopomógł mu pozyskać przypadek.

Zawzięty starzec wielce był oburzony pozbawieniem wolności i gdy z kolei Bolesław prosił go o rozmowę, chcąc go przekonać, że tylko będące obowiązkiem arcybiskupa nawrócenie Pomorza kres zdoła położyć napaściom i rozdwojeniu, spotkania odmówił oświadczając, że skoro jego o radę nie pytano, w sprawach Kościoła sam stanowić będzie. Nie pożegnawszy się z księciem, wyruszył z Krakowa i zatrzymał się znowu w Spicymierzu, gdzie naprzeciw niego wyjechał gnieźnieński archidiakon Mikołaj, by się nad nowym położeniem naradzić. Staruszek pomstował na Bolesława i przed wyruszeniem do Gniezna kapelanowi swemu kazał mszę dziękczynną odprawić za uwolnienie - jak mówił - z rąk Filistynów.

Konie już czekały gotowe do drogi, arcybiskup zaś, jak zazwyczaj, z celebrującym kapłanem konfesję odmawiał, gdy przed kościołem rozległy się wrzaski. Staruszek dźwignął się, by złajac służbę za nieprzystojne zachowanie, gdy jeden z pacholków wpadł do kościoła i krzyknął:

- Ratujcie się, wielebny panie, Pomorcel!

Jakoż wrzaski i odgłosy walki dochodziły już z cmentarza, przez który wielu wraz z archidiakonem Mikołajem rzuciło się do ucieczki, gdy inni tymczasem chowali się pod ławy i gdzie się dało. Kapelan przycupnął za ołtarzem i nagle arcybiskup ujrzał się sam w opustoszałym kościele. Jakby mu lat ubyło, skoczył na schody do chóru, a stamtąd przedostawszy się na podstrysze, wspiał się na belki wiązania i tam się przytulił nasłuchując wrzasków i hałasu wywracanych sprzętów. Potem uspokoiło się wszystko, ale Marcin długo jeszcze leżał cicho, jak trawa pod kamieniem, czując jeno, jak drętwieje mu całe ciało w niewygodnym położeniu, modląc się żarliwie i śluby wielkie składając za ocalenie. Gdy wreszcie pomiarkował, że napastnicy musieli już odejść, sił mu zbrakło, by zejść, jeno słabym głosem wzywał pomocy.

Nie czekał długo, załoga bowiem gródka w Uniejowie, powiadomiona o napadzie, ruszyła

natychmiast z pomocą, ale Pomorzanie już nie udało się dopaść. Od kapelana, który ocalał, przytłamszy się za ołtarzem, dowiedzieli się, że napastnicy pojмали jeno archidiakona, którego - złudzeni bogatym ubiorem - wzięli za arcybiskupa, zrabowali relikwie, naczynia i szaty kościelne i potłukłszy sprzęty odeszli. Zaczęto szukać arcybiskupa. Ściągnięty z podstrysza i odniesiony na plebanię sędziwy arcybiskup ze strachu i nadmiernego wysiłku słabował przez kilka dni, ale wstawszy przywołał kapelana i rzekł:

- Teraz nam dopiero iście dziękczynną mszę odprawić, że nas Bóg z rąk prawdziwych Filistynów ocalił. Nie będzie spokoju, póki się ich do stóp krzyża nie przygnie.

Jakoż gdy wojewoda Skarbimir zbierał wojska pod Inowrocławiem na walną wyprawę przeciw Pomorcom, na równi z możnowładcami i prostymi wojami ciągnęły do niego na rozkaz arcybiskupa poczty duchownych dostojników. Apostołów ni męczenników między nimi nie było, ale do bronii nawykli na równi z rycerstwem i jak ono nie gardzili doczesnymi korzyściami, zwłaszcza gdy walka z poganami także korzyść dla duszy obiecywała.

Skarbimir zamierzał ciągnąć w dół Wisły, po czym na zachód się zwrócić i dotrzeć do morza.

Księżę najchętniej sam objąłby dowództwo, ale trzymały go na miejscu sprawy czeskie. Świętopełk, obsiadłszy Pragę, nie zamyślał wykonać dawniej przyjętych zobowiązań, a tym mniej ulegać Bolesławowi. Czuł się pewny na tronie, zyskawszy uznanie cesarza, zwierzchniego pana Czech, któremu jako lennik do pomocy był zobowiązany. Cesarskie zaś zamiary wobec Polski nie mogły budzić wątpliwości i należało się od strony Czech ubezpieczyć. Bolesław, by nie odciągać sił od pomorskiej wyprawy, sam ze swą drużyną jeno siedział w Koźlu i odbudowywał spalony zdradą Zbigniewa gród.

Siedział z nim i Bogusław, wbrew swemu zwyczajowi nie napierając się nawet lecieć do Skarbimira. Uzyskał przyrzeczenie, że księżę nad najemnym hufcem powierzy mu dowództwo, i czekał cierpliwie na ukończenie odbudowy grodu, która szybko posuwała się naprzód. Księżę zbyt wielką wagę przywiązywał do sprawy pomorskiej, by w wyprawie nie wziąć udziału; wiedział tedy Bogusław, że i jego udział w niej nie minie. Tymczasem rozmyślał nad sprawą zabójstwa Barsa, coraz mocniej przeświadczony, że morderca musiał w tym mieć cel jakiś. Pierwszy, jaki się nasuwał na myśl, to przeszkodzenie wymianie za Przedstawę. Ale komu zależeć mogło na tym, by stary wojak pozostał w pogańskiej niewoli? Lubiany nie był, ale wrogów nie miał. Gdy Bogusław napomknął o tym księciu, Bolesław odparł:

- Tak czy inak go wydostaniem, tedy szkoda się głowić, bo Przedstawę sam najlepiej wiedzieć powinien. A ninie już niedługo cierpliwie się musi. Nie wykupię go, bo gdybym ja słał, drożyć się będą, za większego biorąc, niż jest. A nie bez tego, że na wyprawie weźmiem jakowych smaczniejszych jeńców, tedy choćbyśmy i Kołobrzegu nie brali, wymieni się go.

- To nie myślicie tam iść? - zapytał Bogusław z rozczarowaniem.

- Rad bym całe Pomorze zhołdował i nie spocznę, póki się to nie stanie. Ale sam widzisz, jako jest: nie wiada, w co raniej rękę z mieczem włożyć. Białogród przódzi chciałbym zająć, bo to jakoby pomorska stolica, a co potem, obaczmy.

- Wždy z Białogrodu do Kołobrzegu jeno dzień drogi - zauważył Bogusław. - Od czterech godów tam się wybieramy.

- A z Kołobrzegu do Kamienia niecałe dwa dni i tyleż stamtąd do Szczecina. Ty byś za jedną niedzielę całe Pomorze chciał zwojować.

- Juści, że chciałbym. Ale Kołobrzeg najpierwszy. Na wątpiach mi leży, żeśmy tam już byli i

musieli odejść.

- Znam cię. Swoją piosenkę chciałbyś zanucić.

- Juści, że chciałbym - powtórzył Bogusław.

- Tedy do drogi się gotuj. Skoro patrzeć, jak ku Skarbimirowi ruszę. Niepotrzebnyś mi już tu, tedy jedź, skoro cię ręka świerzbi, nad najemnikami objąć dowództwo. A pomnij, że i głowę nie po to się ma, by hełm było na czym nosić. Patrz, jak Skarbimir sobie poczyna, i ucz się.

- Dzięki wam! Obaczycie, jak się ustatkuję.

- Przed zimą rad bym tam skończył, bo tutaj wracać trzeba, zęby szczyżyć - dodał książę.

X

POD BIAŁOGRODEM

Były już wieści, że palatyn, zepchnąwszy Pomorców w ich dawne granice za Noteć, zdobył Czersk i Człuchów, a na Słupsk i Sławno uderzyć zamierza, biorąc po drodze mniejsze grodki i zmuszając je do posłuszeństwa lub niszcząc. Pomorze rozbite na księstwka, z których każdy panek swego jeno zwykł pilnować, nie umiało utworzyć jednolitego oporu, liczyć się jednak z tym należało, że Zbigniew nie zasypia sprawy, a siły Skarbimira topnieją po drodze. Toteż księżę przez Bogusława wysłał rozkaz, by Skarbimir, wziąwszy Sławno, zostawił na boku Koszalin i ciągnął pod Białogród, gdzie mieli się spotkać z księciem.

Białogród był warownią potężną, którą z przyrodzenia chroniły bagna od północnego wschodu, Prośnica o przepadlistych brzegach od południowego zachodu, ponadto zaś ubezpieczony był potrójnym wałem i bagnistymi rowami. Załoga liczna, a wzmocnili ją jeszcze uchodzący przed Skarbimirem z innych grodów woje. Żywności po zbiorach było w bród, obronę mieli czas przygotować. Białogrodzianie pewni byli siebie i ani myśleli o poddaniu.

Doświadczony Skarbimir, który już raz przed pięciu laty oblegał miasto, wiedział, że tak zaopatrzonego grodu nie weźmie wstępny bojem, toteż doszedłszy do rzeczulki Leśnicy, która ubezpieczyła go od niespodziewanego napadu z miasta, założył obóz warowny osłonięty bagnem od północy, by znużonemu wojsku dać wypoczynek i przygotowania zacząć do oblężenia. Tam go zastał Bogusław przyjechawszy z rozkazami od księcia.

- Oszczędziłem ci drogi - powiedział wysłuchawszy poselstwa Skarbimir. - Koszalin sam się podda, jeśli Białogród weźmiem. Jeno trzeba się będzie wysilić.

Nie mówił, że wolałby sławą zdobycia grodu z nikim się nie dzielić, niemniej postanowił przygotować wszystko, by przystąpić do oblężenia natychmiast po przybyciu księcia. Toteż dzień za dniem huczały topory, wałąc drzewa na oblężnicze budowle, sterty łożyny i gałęzi do zasypywania rowów rosły w góry, a po borach niosły się odgłosy łowów, które miały zapasów mięsiwa dostarczyć na długie oblężenie. Nie przewidywał bowiem palatyn, by się gród szybko zdobyć dało. Ruch też panował w obozie nieustanny. Jeńców i niezdolnych d<^ broni wojaków odesłano do kraju, by nie obciążać się nimi. Pozostali rankiem zaprawiali się, by nie zależeć pola, od południa zaś czyścili i ostrzyli broń, sporządzali zapasy strzał do łuków i pocisków do oblężniczych kusz, okuwali belki dębowe na tarany i tarli pnie na deski potrzebne do budowy machin wojennych.

Bogusław znalazł się w swoim żywiole i nie dospawszy nawet, poszedł wraz ze Skarbimirem obejrzeć hufiec, którym miał dowodzić. Palatyn głową pokręcił z powątpiewaniem, czy starzy wyjadacze dadzą się młodzikowi powodować, zwłaszcza że z tych, co pod Kołobrzegiem brali udział w walce i znali Bogusława, niewiele już pozostało. Hufiec składał się przeważnie z posiłkowych Rusinów Jarosława, którzy walczyli jeszcze przeciw Zbigniewowi, chłopów roślących i twardych, szczególnie przydatnych do oblężniczych walk. Z tymi łatwiej się było porozumieć, bo podobnym mówili językiem i karni byli. Trudniej natomiast z węgierskimi najemnikami, mniej zdatnymi do oblężenia, doskonałymi natomiast w otwartej walce i pościgu. Jeźdźcy to byli wyborni,

o dzikim i srogim wyglądzie, z podgolonymi łbami, obwisłymi, czarnymi wąsami, zbrojni w krzywe szable, którymi biegle władali, i krótkie łuki mocy niezmiernej.

Bogusław jednak umiał jednać sobie ludzi i pewny był, że i z tymi sobie poradzi. Mimo to rad ujrzał znajomych z dawnej Przedstawowej roty, a między nimi Wszebora, który stał w pierwszym szeregu, ale na uśmiech Bogusława odpowiedział jeno ponurym spojrzeniem.

Młodzian nie stropił się tym jednak. Nie przestając się uśmiechać, przystąpił do Wszebora mówiąc:

- Cóż na mnie wilkiem patrzysz? Myślisz, że ci będę dogryzał? Juści, języka do pochew nie schowam, ale i ty odgryźć się możesz, jeśli ci umu starczy, byłeś swoje robił, jako drudzy, takiś mi dobry jak oni.

Gdy Wszebor nie odezwał się i nie rozchmurzył, Bogusław ciągnął:

- Nie możesz zapomnieć, iżem cię obśmiał. Nic to, inni już zabyli, a ty rad bądź, żeś pazerność jeno skórą zapłacił, gdy inni głowy dali.

Gdy mrukliwy wojak i teraz się nie odezwał, Bogusław zakończył:

- Chcesz się gniewać, twoja wola. Byłeś swoje robił, nie będziesz na mnie narzekał. Pobędziem razem, przeprosisz się.

Bogusław rychło zżył się ze swymi ludźmi, a oni z nim, bo choć nie żałował ich kości przy ćwiczeniach i pracy, nie żałował i własnych, a doświadczeni wojacy wrychle pomiarkowali, że choć młody, biegły już jest w wojennym rzemiośle i nie od święta jeno dowódcą ostał. Pozwalał też przy ognisku wieczorem zapomnieć o tym i przekomarzał się z towarzyszami, po staremu języka na węzeł nie zawiązując, a śmiać się umiał, gdy mu dogryziono. Wszebora tylko rozruszać nie zdołał, zresztą czasu nie stało, bo w kilka dni nadszedł książę i rozbiwszy obóz w łuku rzecznym poniżej grodu, przysłał wezwanie na naradę i wiadomo już było, że wkrótce zacznie się walka.

Starszyna, ze Skarbimirem na czele, daleko objeżdżać musiała, gdyż mosty na Leśnicy dopiero stawiać zaczęto, a do brodu dość było daleko. Prośnicę, wezbraną jesiennymi wodami, wpław przebyć mieli, tak że zmierzchało już, gdy w dół rzeki skręcili do obozu. Za nią na tle ciemniejszego już nieba rysowały się białogrodzkie baszty i bramy.

Nagle od strony zachodniej zabłysło światło i rozszerzało się, aż niebo poczerwieniało od łuny. Skarbimir patrzył przez chwilę, po czym mruknął:

- Most palą. Nie na wiele im się to zda, bo na dylach tarcice położym. Ale widno już wiedzą o nadejściu książęcia, a o poddaniu nie myślą.

Blaski płomieni oświetlały trzy rzędy częstokołów na wałach, jak trzy rzędy zębów w paszczy olbrzymiego smoka, z której wywinał się drgający jęzor ognia i przerzucił przez most, dwojąc się odbiciem w wodzie. Widok był piękny, choć groźny. Przejeżdżając patrzyli w milczeniu; wkrótce krwawić się przyjdzie, by szczerzące się zęby wyłamać i dobrać się do serca.

Bolko, zamierzywszy opanować jeśli nie całe Pomorze, to znaczną jego część, sił musiał oszczędzać, choć wrodzona zapalczywość gnała go do walki. Dlatego, mimo że po zasięgnięciu zdania palatyna ustalił sposób oblężenia i wydał rozkazy, nie poniechał próby skłonienia białogrodzian do uległości bez walki.

Jak zwykle ciekawy wszystkiego Bogusław na posła się wprosił, choć przestrzegali go niektórzy, że poganie nawet nietykalności posła gotowi nie uszanować, pewni się czując za swymi wałami. Bogusław nie dał się jednak spłoszyć i wzięwszy dwóch wojów, z których jeden niósł białą, drugi - czerwoną tarczę, przeprawił się przez rzekę i z gałęzią jemioły w ręku podszedł pod bramę.

Straż dostrzegła go zaraz, a gdy się opowiedział posłem od księcia Bolesława, kazała mu czekać na odpowiedź. Czekał dość długo, zanim posłyszał, jak belki i gruz pod bramą zaczęto odwalać, a tymczasem rozglądał się ciekawie. Pomiarkował, że głęboki i szeroki rów pod zewnętrznym wałem prowadzi bieżącą wodę, widocznie z Leśnicy, a w Prośnicy znajduje swe ujście. Nie miał już jednak czasu nad tym rozmyślać, bo furta otwarła się i wezwano go do wejścia. Przybrał wyraz powagi na nie nawykłe do niej oblicze i szedł za wiodącym go wojakiem, spoglądając na boki i przepatrując, co się da, z myślą, że jednak tu walczyć przyjdzie.

Wprowadzono go do większego od innych budynku, gdzie w obszernej izbie za wielkim dębowym stołem zasiadała starszyzna grodu z księciem Gniewomirem na czele. Skłonił się dumnie i rozpoczął:

- Pan mój i całej Polski, książę Bolesław Włodzisławowic, pokłon wam śle i pozdrowienia, a to mi rzec kazał: jak naddziadowie jego lechickim szczepem Pomorzan władali, którego jeno przez nieszczęsne wypadki z posłuszeństwa i należnej uległości wyszedł, tak i on nigdy dziedzictwa przodków się nie wyrzeczy, na łup obcym nie odda i panować tu będzie łaskawie dla uległych, srogo dla opornych. Tedy przestrzec was kazał, byście go nie zmuszali krwią jego rycerstwa, która gdzie indziej potrzebna, zdobywać tego miasta wzajem waszą krew rozlewając. Śle wam tedy przeze mnie dwie tarcze: białą i czerwoną. Pierwsza oznacza pokój, druga - krwie rozlanie. Wybierajcie!

Między obecnymi rozległ się szmer i szepty. Gniewomir skinieniem ręki uciszył je i odparł:

- W sąsiedniej izbie na odpowiedź zaczekajcie. Niedługo, bo i rozmyślać nie ma nad czym.

Bogusław z towarzyszami wyszli, ale i usiąść nie zdążyli, gdy ich przywołano. Gniewomir z twarzą nieprzeniknioną zaczął:

- Pokłon za pokłon waszemu panu! Rzeknijcie mu, że białą tarczę wybieramy, bo korzystniejszy pokój od wojny...

Przerwał, lecz zaraz ciągnął drwiąco:

- Jeno pewniejszy go będziem, gdy się biała tarcza waszą krwią ubroczy. Calej czy nie całej Polski jest panem, jedno pewne, że naszym nie będzie. Jeśli szczyt biały ma pozostać, niech idzie, skąd przyszedł. Bronić się potrafimy zarówno przed nim, jak i przed innym wrogiem, tedy niech nas nie straszy.

Książę Bolesław przyniesioną przez Bogusława zuchwałą odpowiedź przyjął nie tylko spokojnie, ale nawet z uśmiechem. Rzekł jeno:

- U licha! Pewni swego być muszą, skoro lżyć się ośmielają. Wyzywają do boju, ale tam się orężem gada, nie słowy. Tedy dajmy mu głos.

Jakoż broń zagadała od rana. Bolesław opasał gród pierścieniem wojsk i jął przygotowywać uderzenie. Polscy woje ryli podkop, by się do wałów zbliżyć bez strat, klecili tarcice dla osłony, zwłoczyli pęki łożyny do zasypywania rowów, deski do ich przejścia, zbijali drabiny, po których na wały drzeć się mieli. Przed bramami zaś rosły drewniane wieże ze zwodzonymi mostami na łańcuchach, które stojących na szczycie wojów osłaniały, zaś po opuszczeniu mieli przejść po nich na blanki baszt.

Białogrodzianie nie patrzyli beczynnym na przygotowania i pociski latały z obu stron, niewiele jednak wzajem strat wyrządzając. Bogusław ze swymi zajął stanowisko od północy, przy drpdze na Kołobrzeg. Od świtu do zmroku był na nogach i wracał do swego szałas głodny i znużony. Cniło mu się i rad by jak najprędzej skończyć przygotowania.

Raz, czekając na wieczerzę, położył się przy ognisku i nakrywszy kożuchem, bo wieczór był

chłodny, zadrzemał. Ocknął go gwar i rozmowy przy sąsiednim ognisku, ale leżał dalej, bo nie chciało mu się wychylić spod ciepłego nakrycia. Nastawił uszu posłyszawszy, że o nim mowa.

- Skoro patrzeć, a jakowymi komesem czy wojewodą ostanie - rzekł jeden.

- Umie się księżęciu przypochlebiać, naszymi kośćmi orać, a zda mu się, że go żelazo nie chwyci

- odparł drugi, w którym Bogusław poznał po głosie Wszebora.

Uśmiechnął się. Wszebor wciąż mu jeszcze zawidzi, niepomny, że nie zawsze jest czego. Przestał się jednak uśmiechać, gdy usłyszał, jak Wszebor ciągnął:

- Przedstaw też nami na księżęcą łaskę chciał zarabiać i nie pobyl długo. I ten nie pobędzie.

- W czepku się rodził. Takiemu to się wszystko wie dzie, a i do siwego włosa wojować potrafi nie wiedząc> co to rana, jakoby z kamienia był.

- Obaczym - odburknął Wszebor.

Zaczęli opowiadać przykłady, ale Bogusław nie słuchał już, gdyż obudziło się w nim jeszcze niejasne podejrzenie. Wszebor nie lubił Przedstawy i zdał się rad być z jego nieszczęścia. Bogusław postanowił mieć go na oku.

Rano, gdy szarzyć zaczęło i zimna mgła wlokła się nad ziemią, od wałów rozległy się przytłumione głosy. Bogusław zerwał się i nasłuchiwał: wrzała walka. Chwycił hełm i miecz, wypadł z szałasu i skrzyknawszy kilkunastu ludzi, jacy znaleźli się pod ręką, popędził na głos, bo nic widać nie było. Nie wątpił, że wycieczka z grodu zamierza poniszczyć przygotowania oblężnicze. Biegł naprzód, nie oglądając się na nikogo.

Gdy się zbliżył, w szarym świetle przedświtu ujrzał zamazane przez mgłę postacie. Gdy dobiegał, poczuł muśnięcie po twarzy i wypuszczona z tyłu strzała, otarłszy się bełtem o policzek, z olbrzymią siłą wbiła się w drewnianą ścianę.

„Niedołęga!!” - pomyślał, ale nie czas było się rozglądać, kto strzelił, bo już wpadł w tłum walczących, a za nim nadbiegali inni.

Walka nie trwała długo, bo białogrodzianie, pomiarkowawszy, że nie udało im się strążyć zaskoczyć i spalić wieży, wycofali się szybko pod osłoną pocisków warowni. I

Wracając przypomniał sobie Bogusław o niezręcznie wypuszczonej strzale. Rozejrzał się po powracających z nim ludziach, przypuszczając, że płochym łucznikiem był któryś z Węgrów; nie było żadnego z nich i prócz Wszebora, który łucznikiem był biegłym, nikt nie miał łuku.

W obozie po chwilowym zamieszaniu ruch był już zwyczajny. Brano się do codziennych zajęć, Bogusław jednak siedział przed swym szałasem, nad czymś głęboko zadumany. Potem kazał przywołać Wszebora, który przyszedł z chmurną jak zwykle twarzą i nie odzywając się czekał, co powie Bogusław.

- Tyś strzelał?

Twarz Wszebora nie drgnęła, gdy odparł:

- Ja!

- Wiem, że łucznik z ciebie przedni. Chybiłeś!

- Każdemu się zdarzy - odburknął wojak.

- Jeno że mnie chybiłeś o dwa palce, a najbliższego Pomorca o cztery łokcie.

- Trafić - to jedno, a chybić - to drugie - odparł Wszebor zuchwale a drwiąco. - A czy o dwa palce, czy o cztery łokcie, któż to wymierzy? Młodemu wojakowi często się zda, iż mu pocisk bzyknął nad głową, a on o sążęń przeleciał. Gadaj o tym, niech się i z ciebie pośmieją, że zajęczą masz skórkę, po której mrówki chodzą, gdy pocisk gwizdnie opodal.

- Tego ja się obawiać nie potrzebuję - odparł spokojnie Bogusław. - A tobie rzekę: mogłeś strzelać do mnie, mogłeś i do Przedśława. Barsa kto ubił? - rzucił zniechęca.

Wszebor pobladł, ale uśmiechnął się złośliwie:

- Widzę, że rad byś mnie oskarżył. Szczęście to, że nie masz takowego sądu, co by dowodów nijakich nie mając na gołe słowa czy głupie domysły sądził.

- Może się i dowód najdzie, gdy Kołobrzeg weźmiem. Ale ja i na to czekać nie myślę, bo nijak mi wojować nie wiedząc: wroga z przodu mam zali z tyłu. A jest taki sąd, który sam za dowód stanie: sąd boży! Na niego cię pozywam.

Twarz Wszebora skurczyła się, ale odparł z kpina:

- Jeśli księżę wesołkowi swemu drogą skórę stawić zezwoli!

- O to się nie troszcz. A teraz precz! - rzucił pogardliwie.

Wszebor spojrzał nienawistnie, a Bogusław konia sobie dać kazał i pojechał za rzekę do księcia.

Most poniżej grodu był już gotowy, tratwy i łodzie, na których oblegający od rzeki pod gród podsuwać się mieli, świeciły już wzdłuż brzegu świeżym drewnem. Przygotowania miały się ku końcowi. Księżę wysłuchał sprawozdania Bogusława o stanie przygotowań. Na zakończenie opowiedział mu Bogusław o rannych wypadkach i sprawę z Wszeborem przedstawił, prosząc o zezwolenie na spotkanie się. Księżę rzekł:

- Jeśli mu nie ufasz, każ go w pęta ująć. Ale gdyby i prawda była, nie waży się drugi raz, skoro już wie, że go podejrzewasz. A weźmiem Kołobrzeg, to się dowodnie przekonamy, jak było z Przedśławem, a Boga na sędziego wzywać strach, gdy to wszystko jeno twoje domysły.

Bogusław zarumienił się i odparł:

- Nijak mi go teraz w pęta brać, boby pod niebo krzyczał, że przed wami oszczerstwa miotam na niego, a sądem się uląkł, na który go pozwałem.

- Jako chcesz - rzekł Bolko niechętnie - choć ordalia czasu wojny wobec nieprzyjaciela niebywała rzecz. Jeno się spiesz, bo oozajutrze zaczniemy. A nie daj się, boby cię ominęło wesele - księżę klepnął ulubieńca po ramieniu.

- W boskim to ręku, ale taki pewny jestem, że praw, iż mi ani w myśli nie postoi, bym mu nie poradził.

Bogusław wracał zamyślony. Postanowił, że spotka się z Wszeborem nazajutrz o świcie. Zsiadłszy z konia przed szaląsem, polecił jednemu z wojaków przywołać Doliwę, by go zawiadomić.

- Musicie poczekać co nie bądź, bo widziałem, jak z braćmi do koni szedł pod las - odparł zagadnięty.

Bogusława coś tknęło. Dosiadł z powrotem konia i rzekł:

- Tedy sam skoczę po niego.

Do stadniny nie było daleko. Konie pały się na łączce pod lasem, w którym koniary pobudowali dla nich szopy, bo noce już były zbyt chłodne, by je można było na pastwisku zostawiać.

Gdy Bogusław dopadł koniarów, dziesiątnik, zagadnięty o Wszebora, odparł:

- Z południa był tu samotrzeć. Konie wzięli i tam ono pojechali! - wskazał ku zachodowi, gdzie ciągnął się gościniec do Kołobrzegu.

Bogusławowi krew uderzyła do głowy. Teraz był już nie tylko pewny swych domysłów, ale zatrwożył się o Przedśława. Niepomny, że szaleństwem jest w pojedynek ścigać trzech tęgich wojaków w nieprzyjacielskim kraju ani że księżę słusznie gniewać się może o samowolę, tyle jeno miał rozsądku, że krzyknął do koniara:

- Bierz paru ludzi, co do garzci, i w skok za mną!

Nie oglądając się więcej, wspiął rumaka i popędził. Gdy wpadł na nie uczęszczany od dłuższego czasu, piaszczysty gościniec, bez trudu poznał świeży ślad trzech koni idących klusem. Zbiegowie nie śpieszyli się zbytnio. Widno i w głowie im nie powstało, by ich miał kto ścigać, a tym mniej doścignąć przed niezbyt odległym Kołobrzegiem.

Bogusław gnał konia, jakby chciał zarazem uciec przed wszelką rozsądniejszą myślą. Musi dopaść zbiegów, choćby w Kołobrzegu na rynku! Wiatr świstał mu w uszach, a pęd jeszcze go podniecał, tak że nie zauważył nawet, iż jesienny dzień, krótki i pogodny, mierzchnąć już zaczynał. Uprzytomnił to sobie dopiero, gdy pełny księżyc dźwigał się na niebo. W jego świetle zdało się Bogusławowi, że poznaje już las, w którym stali, gdy pierwszy raz spod Kołobrzegu odejść byli zmuszeni. W tej chwili jednak zauważył przed sobą na gościńcu trzy cienie. Ścigani jechali wolno, pewni siebie. Jakoż od Kołobrzegu już tylko kilka stajañ ich dzieliło i chyba szalenie mógł ich tu ścigać.

Gdy jednak nadeszła rozstrzygająca chwila, Bogusław stał się zimny i trzeźwy. Konia miał zegnanego; ujdą, jeśli uciekać zechcą, a poradzą z nim sobie bez trudu, jeśli staną do bitki. Chyba że ich zaskoczy. Przypomnił sobie, że droga, wiodąca dotąd niemal wprost na północ, za niewielkim wzniesieniem skręca z nagłą na zachód, a wysokopienny bór przed miastem przechodzi w chaszczę. Bez namysłu skręcił w las i nie bacząc, że w mroku łeb sobie może rozbić o gałąź, popędził ile pary w koniu, by przeciąć zbiegom drogę i przed nimi się zasadzić.

Gdy się zatrzymał za rozłożystym krzem, w świetle księżyca dojrzał nadjeżdżających już o kilkadziesiąt kroków. Nie spodziewali się niczego, gdyż jadąc gwarzyli spokojnie. Bogusław skupił całą uwagę i napięty jak łuk czekał. Gdy byli tuż, żgnął konia i skoczył.

Nim się jednak starli, wrzask uderzył ze wszystkich stron i na gościniec wysypała się gromada ludzi. Dziesiątki rąk ściągnęło jeźdźców z koni i obaliwszy na ziemię wiązało ich z wprawą! Nim się pomiarkowali, stali już skrupowani pośrodku kupy zbrojnych Pomorzan.

Wszebor, gdy jeno ochłonął, ciskać się począł krzycząc:

- Z dobrej woli przyjechaliśmy, czemuż nas wiążecie? Od Bolka spod Białogrodu uszedłem do was, by wszystko rzec, co wam wiedzieć potrzeba.

Bogusława zaświerzbiałły związane dłonie, ale że ruszyć nimi nie mógł, nie zapomniał o języku. Roześmiał się i zakrzyknął:

- Za głupich was ma! Ja to od Bolka zbiegłem do was, a oni mnie ścigali. Wzdryście sami widzieli, jako nadiechali za mna.

- Łże! - wrzasnął Wszebor. - Onże nas ścigał.

- Szukaj takich głupich, jak ty, by uwierzyli, że ja was trzech w pojedynkę ścigał do samego miasta.

Bogusław śmiał się tak szczerze i beztrosko, widząc, jak Wszebor pieni się z bezsilnej wściekłości, że bardziej niż słowami zdał się tym przekonywać Pomorzan. Starszy jednak mąż, który im przewodził, zakończył sprawę:

- Nie będziem tu dochodzili, kto zbiegł, a kto ścigał. Do książęcia was zawiedziem, tam się sprawiać będziecie.

- Jeno mnie razem z nimi nie trzymajcie, boby mnie ubili, by pomstę wyrzucić i świadka zbyć - zastrzegł się Bogusław.

Był tak zadowolony, że zdrajcy pomieszał szyki, iż zapomniał trapić się, że sam popadł w

niewolę. Pewny był, że się z niej wydobędzie, tyle jeno, że walka o Białogród może go ominąć. Pocieszył się, że Pomorze jest wielkie i jeszcze sobie to powetuje. I mimo że w komórcie na wieży zameczku Swatobora chłodno było, a związane ręce dowierały, znużony zasnął zaraz.

Koniuchy, jadący za Bogusławem, przestrzeżeni wrzaskiem, na czas zawrócili i księżę już rano dowiedział się, co zaszło. Poprzysiągł sobie, że Wszebora dostanie, choćby za stu jeńców wymienić go przyszło, i pomści na zdrajcy stratę Bogusława, którego ujrzyć niezbyt się spodziewał. Niemniej gniewny był i na niego, że lekkomyślnie wziął się do sprawy, która źle musiała się skończyć. Tym bardziej jednak postanawiał przyśpieszyć wzięcie Białogrodu, by na Kołobrzeg uderzyć.

Jakoż nazajutrz, o szarym jeszcze świcie pogodnego dnia, rogi zabrzmiały dookoła miasta i wyroiły się tłumy wojów, biegnąc pod wał. Łucznicy zatrzymali się za osłonami, skąd jęli szyc strzałami do wyległych tłumnie na wały Pomorzan. Tarczownicy zaś, niosąc przed sobą pęki łożyny i gałęzi, parli ku fosie, którą w mgnieniu oka zasypali faszyną, a rzuciwszy na nią deski, drzeć się jęli z drabinami i siekierami pod częstokół. Pancerni, pod osłoną wież, które pchali przed sobą, dotarli do bramy i gdy stojący na górnym pomoście ścinać się jęli z obrońcami, przeszkadzając im w zrzucaniu pocisków oraz laniu smoły i wrzątku, znajdujący się na dole rozhuścili wiszące na linach tarany i tłuc jęli nimi bramy.

Księżę, powierzywszy Skarbimirowi dowództwo od południowej strony, sam doglądał walki od północy i zachodu, zachowując swą drużynę do ostatecznego uderzenia, gdy któraś z bram zostanie przełamana, chciał bowiem oszczędzać ludzi po zdziesiątkowaniu pod Kołobrzegiem i Rudą.

Od południowej strony dostęp był łatwiejszy, Skarbimir bowiem skorzystał ze spostrzeżenia Bogusława i wieczorem przed walką odciął dopływ wody z Leśnicy do rowu, tak że na rano niewiele już jej było. Toteż jego ludzie, choć ze znacznymi stratami, przeparli rychło pierwszy wał i uderzyli na drugi. Nieprzyjaciel jednak, ściągawszy posiłki na zagrożone miejsce, stawiać zaczął zacięty opór, tak że napastnicy cofnąć się musieli, tyle jeno, że spalili częstokół.

I gdzie indziej miejscami zrobiono wyłomy w pierwszym pierścieniu wałów, najgorętsza jednak walka rozpalila się pod bramami. Pancerni kilkakroć próbowali przerzucić pomosty i za każdym razem ze stratami zostali odparci. Do południa walka wrzała z ogromnym uporem i zaciętością z obu stron; choć księżę widział, że wojów zaczyna ogarniać znużenie, nie chciał walki przerywać, by nie dopuścić do naprawy poczynionych wyłomów i szkód. Toteż gdy przy północnej bramie Pomorzanie zgruchotali podsunietą wieżę i polscy woje bez rozkazu cofać się zaczęli, Bolko, nie namyślając się, porwał drużynę i sam skoczył pod bramę.

Silnie była już uszkodzona, a białogrodzianie uradowani, że natarcie odeprzeć im się udało, właśnie brali się do naprawy, gdy niespodziane uderzenie wywołało zamęt. Polacy jedni darli się po drabinach na basztę, inni z księciem na czele pod bramę dopadli z toporami. Osłabiona, nie wytrzymała naporu i padła z trzaskiem, a przez wyłom fala napastników wdzierać się jęła do grodu, spychając obrońców lub depcząc po ich trupach. Pierścień obrony załamywać się zaczął coraz szerzej jak rozmywany wodą wyłom w przerwanej przez powódź grobli.

Księżę, nie bacząc już na nic, darł się ku środkowi miasta, by wznieciwszy w nim zamieszanie, rozprząc i obezwładnić obronę. Z domów jak myszy przed powodzią wymykał się kto żyw i bezwładny tłum pędził ku rynkowi. Wrzask się uczynił nieopisany i rozszerzał się, jakby jednym głosem przedśmiertnej trwogi krzyczało całe miasto. Jednocześnie z południa napływać zaczynała do rynku fala uciekających. To Skarbimir przełamał opór i zganiał obrońców, którzy, pomieszani z uciekającymi niewiastami i dziećmi, nie mogli już przyjść do sprawy. Walka też gasła, a zaczynała

się rzeź.

Białogrodzka starszyzna w radnym budynku dopiero co otrzymała wiadomość o odparciu uderzenia z wielkimi stratami nieprzyjaciela. Zaufanie we własne siły jeszcze się wzmogło. Gniewomir wybierał się właśnie obejść umocnienia, by stwierdzić szkody i naprawę zarządzić, gdy uderzyły go wrzaski od północnej bramy. Skierował się więc tam, lecz po chwili ogarniać go zaczęła fala uciekających, a z ich bezładnych opowieści pomiarkował, co się stało. Zachmurzył się, lecz nie stropił i natychmiast gromadził jał wojów, by wesprzeć obronę i wyciąć lub wyżenąć napastników, którzy wdarli się do miasta. Nim jednak zdołał zebrać pomoc, fala uciekających napływać zaczęła i od południa.

Starszyźnie ręce opadły. Teraz niejeden żałował zuchwałej odpowiedzi danej polskiemu księciu, ale z doradą już się nie spieszył, bo i nie było co radzić. Nikt nie chciał pierwszy wyrwać się z tym, co myślał każdy, że pozostało jeno drogo sprzedać życie. Sędziwy Czyrnych, który do walki już zdolny nie był, widząc, że nie odzywa się nikt, zaczął:

__ Mnie już zajedno, który dzień będzie mi ostatni. Ale dziątek i niewiast żal. Trzeba zwycięzcę o miłosierdzie prosić, gdy sił nie ma bronić swoich przed wojackim rozpasaniem.

- Pomiłuje to nam, gdyśmy drwili z niego? - rzucił Tworysz.

- Niech nasze gardła weźmie. Ale niewiasty i dzieci nic niewinne.

- Ktoże do niego pójdzie, gdy zanim dojdzie, gardło da?

- Zajedno mi, gdzie je dam. Pójdę ja.

Bolko, który zatrzymał się, by skupić ludzi koło siebie i uderzyć na rynek, gdzie spodziewał się rozpaczliwego oporu, ze zdziwieniem ujrzał, jak ciągnie stamtąd ku niemu gromada ludzi. Nie byli to jednak woje. Na czele kroczył rosły starzec, z kosturem jeno w rękę, za nim zaś o kilkanaście kroków trwożnie sunął tłum niewiast i dzieci. Zbliżywszy się starzec ukląkł i wyciągając ręce, zaczął:

- Mówią, że litość bez sprawiedliwości jest szaleństwem. Ale okrucieństwem jest sprawiedliwość bez litości. Oto my, mężowie, głowy ci nasze oddajemy, byś zuchwałych pokarał, jako zasłużyli, a miłosierdzie miał nad tymi, co niczemu niewinni.

Ręką wskazał na szlochający za nim tłum.

Księżę przystąpił do starca i podnosząc go odparł:

- Przyszedłem panować, nie mordować, jakom raniej przez posła rzekł. Zuchwałym pokazałem siłę, pokornym łaskę okażę.

Natychmiast polecił otrąbić zakończenie walki i drułów rozesłał po grodzie z rozkazem zaprzestania rabunku i rzezi, sam zaś na czele starszyzny szedł do radnego domu w rynku, hołd i przysięgę wierności odebrać. Zewsząd ścigał tłum, uradowany, że dzięki wspaniałomyślności zwycięzcy nie tylko głowy unieśli całe, ale ponad spodziewanie i majątności ich księżę oszczędzać kazał, a woje, pomni doświadczenia z Kołobrzegu, nie ważyli się wbrew zakazowi łupić. Białogrodzianie zresztą sami, w dowód wdzięczności, naznosili tyle darów, że starczyło na sowite wynagrodzenie dla wojska i nagrody dla walecznych, a wiadomość o postępkach Bolesława wichrem rozniosła się po Pomorzu.

Rycerstwo spodziewało się zaznać w mieście wygod i wypoczynku po trudach i niewczasach, ale księżę postanowił kończyć szybko, bo inne sprawy wzywały go do kraju. Jeno wyspać się do syta zezwolił, a już nazajutrz ładowano sprzęt obłężniczy na tratwy i łodzie, którymi piesze wojska pod wodzą Skarbimira Prośnicą spłynąć miały pod Kołobrzeg, gdy tymczasem księżę z jazdą iść miał prawym brzegiem i tym razem na ziemne umocnienia koło Ujścia od strony morza uderzyć. Na

zaskoczenie liczyć nie mógł, ale siły wiódł dostateczne, by zgnieść opór. Z żalem wspominał Bogusława: nie zaśpiewa on już swojej pieśni, którą na zdobycie Kołobrzegu ułożył. I smutno było bez wesółka.

XI

BOGUSŁAWOWA PIEŚŃ

Wesołkowi natomiast wcale nie było smutno. Rano obudził się zziębnięty i ze zdrętwiałymi rękoma, ale pomyślawszy, że dzięki jego podstępowi i Wszebor, zgoła się tego nie spodziewając, nie lepiej noc spędził, roześmiał się głośno.

W tej chwili otworzyły się drzwi i dojrzała, hoża niewiasta zapytała:

- A ty z czego się śmiejesz, młodziku?
- Z tego, że ci, co mnie ścigali, też nie lepiej się mają niż ja.
- Źle ci? - rzuciła.

Usiłowała zachować się obojętnie, ale spojrzenie jej zdradzało, że się jej jeniec podoba.

Bogusław odparł:

- Źle, nie źle. Ale nudno samemu.

Zarumieniła się i powiedziała z udaną surowością:

- Pstro masz w głowie. Radziej o tym myśl, co z tobą będzie.
- Co ma być? Niech jeno z waszym księżciem pogadam, ucztę dla mnie wyprawi. A zjadłbym coś ciepłego i dużo. Anim wczoraj miał czas co do gęby włożyć.
- Zjadłbyś? Tedy poczekaj. Nie zabronili jeść dawać.

Wyszła, a Bogusław byłby ręce zatarł, gdyby miał wolne. Trzeba i z tym coś poradzić. Gdy nadeszła z polewką i plackiem, udał, że łyżki w ręku utrzymać nie może:

- Ze szczętem mi ręce zdrętwiały. Chyba jako pies będę z miski chleptał.
- Poczekaj, pomogę.
- A nie zdjęlibyście mi więzów?
- Nie Iza - odparła i biorąc łyżkę zaczęła go karmić.

Uśmiechnął się do niej przymilnie i rzekł:

- Żebym ręce miał wolne, to bym was uściskał.
- Ty zbereźniku. Bez mała matką twoją mogłabym być.

Zerwała się i uciekła. Zaśmiał się i wziął się do placka. Jeśli niewiasta wróci, znaczy, że wzięła przynętę.

Nie przyszła jednak, natomiast dopiero wieczorem stary, mrukliwy dziad przyniósł posiłek. Bogusław pomyślał, że zbyt obcesowo zaczął z niewiastą, i próbował rozruszać starego. Zagadnął:

- Kiedy mnie przed księżciem stawicie? Nie po tom tu jechał, byście mnie w więzach trzymali.
- Nie wiem, po coś jechał. A księżę ważniejsze teraz ma sprawy na głowie.
- Boi się Bolkowej napaści? Właśnie o tym chciałem z nim gadać.
- Powiem, gdzie należy - mruknął dziad i wyszedł, zamykając starannie komórkę.

Bogusław zdołał trochę rozluźnić więzy, tak że nie uwierały. Nie był natomiast już tak wesoły jak z rana. Zaczynały go nachodzić wątpliwości, czy niewola skończy się tak szybko i pomyślnie, jak sądził zrazu. Księżę zabawić się może pod Białogrodem, a jeśli tam siły wytraci, zdobycie Kołobrzegu gotów odłożyć.

Nazajutrz też, obudziwszy się rano, nie miał ochoty do śmiechu, tym mniej, że nikt się nie zjawił do południa. Obiad przyniósł ten sam dziad, a zagadnięty burknął jeno:

- Nie czas myśleć o tobie. Słysząc, że Bolko na Białogród uderzył. Jeśli go weźmie, niech nas bogi chronią.

Zabrał się, a Bogusław niecierpliwie kręcić się jał po komórce. Żeby nie porywczość, biłby się teraz pod Białogrodem. A tak? Może mu w niewoli ostać przyjdzie. Pomyślał, że Przedślaw cierpi już ją cztery lata. On zaś nie wiedział, jak zdoła wytrzymać czwarty dzień. Wieczorem długo nie mógł usnąć, bo dręczyła go niepewność: wziął Bolko Białogród czy nie? Kołobrzężanie muszą na to pilnie baczyć i wieści będą zaraz. Nabral nadziei, że i on się dowie, i usnął wreszcie.

Rano spał jeszcze twardo, gdy poczuł, że ktoś go trąca. Przetarł oczy: nad nim stała znajoma niewiasta.

- Zbudźże się. Śpi jakby nigdy nic, a wasi Białogród wzięli i tylko patrzeć, tu będą.

Na szczęście podniosła zapaskę do oczu, zaspany bowiem Bogusław omal się nie zdradził z radością. Pomiarkował się jednak na czas i krzyknął:

- Musicie mnie uwolnić, bo jak mnie tu złapią, ćwiartować będą za zdradę!

Wytarła głośno nos i nożem przecinać jąła więzy na rękach Bogusława. Roztarł dłonie i siląc się udawać strach, którego zgoła nie znał, rzucił drżącym głosem:

- Więzy - to jedno. Ale jak wyjść?

- Uchodźć musisz - powiedziała. - Nasz ksiązę bić się nie chce. Ani chybi, rad by cię zatrzymał od wypadku, by się w razie czego w łaski Bolka wkupić, wydając cię na pomstę.

- Rety! - wrzasnął Bogusław i omal nie parsknął śmiechem.

- Nie bój się nic. Już ja cię wywiode. Pójdź za mną, jeno cicho i prędko.

Biegła prędej, niż się można było spodziewać po jej tuszy, i krytymi schodkami dotarli do piwnicy w wieży. Zdyszana zapytała:

-! Pływać aby umiesz?

- Jako śledź - odpowiedział.

- To i dobrze, bobyś inak do ciemności czekać musiał i łozami pod wałem się przemykać, gdzie by cię mogli ustrzelić, bo bardzo pilnują. A tak sobie niepostrzeżenie pod mostem przepłyniesz. Pomóż mi odwalić.

Namacał głaz i odsunął go, a niewiasta podniosła dębową tarcicę, na której leżał, i wskazując czarny otwór rzekła:

- Tędy pod mostem jest wyjście.

Tym razem Bogusław szczerze przygarnął niewiastę i całując ją w pulchny policzek, powiedział:

- Jako o matce będę o was pamiętał.

Zniknął w ciemnym otworze. Zamknęła go za nim, z trudem zasuważąc głaz.

Zaledwie Bogusław w ciemności uszedł po omacku kilkanaście kroków, zaświtało przed nim i za chwilę znalazł się przy wyjściu, które zasłaniało cembrowanie przyczółka. Tuż pod nogami szemrała wezbrana woda.

- Gadają: „Nie szukaj pod mostem, bo najdziesz łajno” - mruknął Bogusław. - A okazuje się, że wejście to jest do grodu, myśmy się zaś jak głupi krwawili na moście.

Płynąc już bez wysiłku od pala do pala, myślał, iż prawdę mówią o nim, że w czepku się rodził. Na tym moście zyskał pas i ostrogi, a teraz wiadomość, która o zdobyciu grodu rozstrzygnąć może. Jeno ją donieść księciu.

Postanowił być ostrożnym jak nigdy. Toteż przepłynąwszy na drugi brzeg nie wyszedł z wody, choć szcząkał zębami z zimna, gdyż obawiał się, że z wałów może być dostrzeżony. Popłynął w dół, dotarł do gęstej łożyny i tam dopiero wyszedłszy na brzeg zaszył się w największy gąszcz. Zdjął ociekającą wodą odzież i wyżawszy ją rozwiesił na krzakach, by choć trochę w jesiennym słońcu podeschła. Wstał ostrożnie i zaczął się rozglądać.

Był naprzeciw północnej części wyspy, oddzielonej strugą od południowej. Nieco poniżej widniały checze, w których zazwyczaj sól warzono dniem i nocą. Dziś jednak nie unosiły się nad nimi dymy, widocznie pracujących ściągnięto do grodu. Jeszcze o parę stająń niżej u splywu obu ramion rzeki widniał most, po którym kręciło się mnóstwo ludzi. Wszystko zdało się wskazywać na to, że gotuje się obrona przed przewidywaną napaścią. Nie byłoby dziwne, gdyby Bolko tutaj naprzód uderzył, by odciąć gród od morza i udaremnić nadejście stąd pomocy, jak za pierwszym razem było. Gdyby książę wiedział, że gród można cichcem ubiec nocą bez strat, poniechałby pewnie uderzenia na obwarowane Ujście. Ale jak donieść? Bogusław zaczął rozmyślać, czy nie przeprowić się na drugą stronę.

Nagle ogarnęły go wątpliwości. Usiadł i zadumał się głęboko. Czuł, że gdyby zdradził wejście, nie śmiałby w oczy spojrzeć niewieście, którą jak macierz przyrzekł wspominać. A jeśli nie zdradzi, znowu wielu druhów głowy położy. Nie chciało mu się już śmiać, że zalotami skłonił niewiastę do tego, iż mu wyjście tajemne pokazała. Nigdy w życiu nie było mu tak ciężko powziąć postanowienia. Wszystko, co czynił dotychczas, było proste i jasne, nie był zmuszony rozmyślać nad niczym.

Zadumę jego przerwały krzyki dochodzące od Ujścia. Wzmagały się coraz bardziej. Nie było wątpliwości, wrzała tam walka. Bogusław drżącymi rękami począł naciągać wilgotną odzież. Gdy się ubrał, poskoczył na kraj zarośli i patrzył: tłum pieszych zbliżał się pędem do mostu, a nad nim w słońcu migotały miecze jezdnych. Na przeciwległym prawym przyczółku uczynił się zator, po czym uciekający i ścigający runęli na most. Z dala widać było, jak sypią się do wody czy to ciała poległych, czy tych, co widząc, że nie ujdą pościgu, w wodzie szukali ocalenia. Na przystani, poniżej mostu, też wicherzył się tłum i na rzekę wypływały łodzie, kierując się ku morzu. Jakiś budynek stanął w płomieniach i kiść czarnego dymu jęła wyrastać na pogodnym niebie.

Bogusław nie myślał teraz o niczym, a najmniej o tym, że bezbronny natknąć się może na uciekających Pornorzan, którzy, przebywszy most, rozsypali się na wszystkie strony. Pędził do swoich i nim dopadł mostu, w gromadce jezdnych poznał księcia po zbroi i koniu. Bolko stał odwrócony tyłem i ręką wskazywał na morze. Nie zauważył nadbiegającego, dopiero gdy Bogusław dłoń na szyi konia położył i patrząc na księcia roześmianymi oczyma, zdyszany głosem powiedział: „Jestem, panie”, Bolko odwrócił się i spozierał przez chwilę w milczeniu, jakby oczom nie wierzył. Potem ze zdumieniem mieszać się zaczęła radość. Wszyscy gapili się na Bogusława, jakby z nieba spadł. Książę pierwszy ochłonął ze zdumienia.

- Jesteś, jucho! Skądżeś się tu wziął?

- Z Kołobrzegu. Rzekę przepłynąłem.

Bolko roześmiał się.

- Czyż nieprawie mówią, że w czepku się rodził? Inny by głowę stracił za swoje szaleństwo, a on jeszcze złoty łańcuch zyszcze, któren przyrzekłem temu, co pierwszy będzie w mieście.

Pochylając się zaś do ucha Bogusława, dodał cicho:

- A za samowolę... wiesz?

Bogusław zaśmiał się i odparł:

- Nie masz Wszebora, żebym mu tę nagrodę odstąpił. Zadowolę się tedy samym łańcuchem.

Twarz Bolka zmierzchła nagle i zęby błysnęły spod warg:

- Co zaś ze zdrajcą?

- W Kołobrzegu jest wraz z braćmi. W więzach na zamku.

Opowiedział w kilku słowach, co zaszło, a wszyscy śmieli się. Jeno ksiązę się nie rozchmurzył.

- Tym razem nie pas, jeno pal go czeka - powiedział.

W tej chwili most zadudnił pod kopytami idącego w skok konia. Dopadł jeździec i krzyknął:

- Posłaniec od książęcia Swatobora! Sam ku wam jedzie.

Bolkowi rozjaśniło się oblicze. Zwracając się do starszyny, rzucił:

- Pomiarkował, że się nie utrzyma, a wiedzieć musi, jakim w Białogrodzie postąpił, i także zamierza z łaski skorzystać. Jedźmy.

Skierował konia na most, a Bogusław biegł co siły, by przybrać zbroję i z konia patrzeć, jak ksiązę od Swatobora hołd będzie przyjmował. Odetchnął głęboko, jakby kamień zrzucił z piersi, jego tajemnica nie będzie już potrzebna. Ledwo opędzając się pytaniami ciekawych, zdążył przybrać się i poskoczyć za księciem, który stał już w otoczeniu starszyny w oczekiwaniu na widny z dala, nadciągający od miasta orszak. Łagodne słońce jesienne, pochylając się już z południa, złociło zbroje i grało błyskami na grotach sulic.

Swatobor niezbyt jeszcze pewny był przyjęcia, a i w gronie polskiej starszyny podnosiły się głosy, że ufać mu nie można. Ale księciu czas i krew drogie były, a dochowanie wiary zabezpieczyć zamierzał. Toteż gdy Swatobor, podjechawszy na kilkanaście kroków, zatrzymał się z wahaniem, Bolko ruszył koniem naprzeciw. Zza pleców Swatobora wyzierały ciekawie i trwożnie oczy kilkuletniego pacholika. Swatobor, nie schodząc z konia, wyciągnął do księcia trzymany w rękę proporzec i przemówił:

- W twoje ręce składam swe panowanie, a oto znak poddania, posłuszeństwa i do rycerskiej służby gotowości. Tuszę, że mi go, jako hołdownikowi, w łasce swej zwrócić raczysz, bym go dzierzył w twoim imieniu.

Bolesław, biorąc proporzec, skinął przyzwalająco. Swatobor zeskoczył z konia i wskazawszy pacholikowi, by uczynił to samo, ukląkł przed Bolesławem mówiąc:

- Oto syn mój, panie, Świętopelk. Zezwolisz, by wraz ze mną lenno z rąk twoich dziedzicznym prawem otrzymał?

Ksiązę spojrział na zmieszanego chłopca i uśmiechnął się. Może już wtedy pomyślał, że zięciem go swym uczyni, by zadzierzgnąć związki, które by trwałość jego zdobyczy zabezpieczały. Proporzec jednak oddał Skarbimirowi mówiąc:

- Jutro wobec całego pospólstwa na rynku w Kołobrzegu hołd od was i przysięgę posłuszeństwa odbiorę i tam warn oznajmię, jakim zakładem, prócz słów, wierność swą utwierdzić będziecie musieli. Dziś już spocząć nam trzeba, choć dzień był mniej znojny, niż mógł być. Wszelkich jeńców, jakich macie, wydać. A zaś Wszebora, który jest u was na zamku, w więzach pod strażą nie mieszkać mi odesłać. Kara, jaką za przeniwierstwo poniesie, za przestroagę niech innym posłuży.

Swatobor nic nie odrzekł. Powstał, skłoniwszy się głęboko, dosiadł konia i z orszakiem zawrócił ku miastu. Spieszył wypełnić rozkazy, rad, że się na groźbie jeno skończyło. Ksiązę stał jeszcze i patrzył na widne z dala, wykwitające z równiny miasto, które rozjarzyło się w skośnych promieniach chylącego się już ku zachodowi słońca. Potem obejrzał się i rzekł do Bogusława:

- Teraz możesz zanucić swoją pieśń.

Przedśław nie przeczuwał, że los znowu rzuci na szalę jego życie, które wlokło się jak ta woda opływająca Słoną Górę, ciemna i zda się nieruchoma, iż dopiero wiór rzuciwszy na nią widać było, że posuwa się jednak, by znaleźć swe ujście i zatracić się w niedalekim morzu. Ale na życie Przedśława rzadko padało jakieś zdarzenie, które by pozwalało w pamięci dzień jeden od drugiego odróżnić. Stracił też ich rachubę, widział jeno, że rosną ku wiośnie, a krótsze się stają pod zimę, na co tęsknie czekali inni, zajęci wraz z nim przy rąbaniu drzew, niewolnicy. Gdy bowiem jesienne wichry obdarły drzewa z liści, co tęższych wysyłano w las, by walili pnie, które z wiosną, gdy wody wezbrały, zwłóczyli do rzeki i spławiali na wyspę. Stanowiło to odmianę w jednostajnej a mozolnej pracy tarcia pni na kłody i rąbania ich na szczapy, którą zatrudnieni byli od wiosny do jesieni, bez żadnej odmiany czy przerwy. Może też żywili nadzieję, że w lesie łatwiej wymknąć się spod czujnego oka dozorców i wolność odzyskać. Ale przez cały czas pobytu Przedśława na wyspie tylko raz udało się jednemu ujść, Borcho bowiem umiał pilnować „roboczego bydła”. Dla pozostałych zaś skutek ucieczki towarzysza był jeno ten, że Borcho kazał im pracę przedłużyć, choć i przedtem dość jej było na siły człowieka. Musiał mieć sól, choćby ją przyszło warzyć z potu niewolników. Okazało się zresztą, że wie, co robi: gdy po kilku miesiącach jeden z nich przytaił pień drzewa, na którym zamierzał spłynąć do morza, i zaoszczędził nieco żywności, której nie otrzymywali zbyt wiele, towarzysze wydali go sami w obawie, że znowu dołożą im roboty, której w gorącym czasie przed połowem śledzi było już ponad siły. I tak pracować za niego musieli, bo dozorczy pamiętali ciężką przeprawę, jaką mieli z Borchą po ucieczce pierwszego niewolnika, i stłukli nieszczęśnika, aż krwią pluł i przez kilka dni, mimo kopania, zwlec się nie mógł z legowiska. Przedśław, który zawsze trzymał się z dala od innych, nie poufaląc się z żadnym, tak że mówić niemal zapomniał, teraz zatroszczył się o pobitego. Gdy jednak chory wstał po kilku dniach, Przedśław nie utrzymywał z nim zbliżenia. Nie chciał się wiązać z nikim i z niczym.

Jeniec przepracował lato, ku zimie jednak cherlać począł i gdy innych wysłano w las, on pozostał z Przedśławem na wyspie. Pracy było niewiele, bo dni słotne i krótkie, ale noce w ciemnej i przewiewnej szopie wlokły się nieznośnie. Wiatr świstał przez szczeliny w ścianach do wtóru jękom chorego, w gorętwie zrzucającego z siebie derę mimo dotkliwego zimna. A Przedśław, któremu z chłodu i wilgoci łamanie w obciętej nodze nie pozwalało usnąć, słuchał półprzytomnego majaczenia i zawodzenia towarzysza. Noce zdały się nie mieć końca jak niewola. Rano obydwaj zwlekali się jak z łoża tortur, szczęściem praca, ograniczona teraz do zbierania odpadków drzewnych, nie wymagała większego wysiłku. Ku wiośnie jednak chory nie mógł już nawet dźwignąć się z posłania. Wówczas przyjechał zawiadomiony Borcho, obejrzał go i coś po cichu nakazał dozorcom. Do Przedśława zaś zwrócił się ze słowami:

- Wy pomyślcie o wykupie za siebie, bo kalekiego dziada do starości karmić nie będę.

Istotnie Przedśław, z wychudłym, szerniałym licem, z sięgającą niemal do pasa brodą, w której coraz gęściej świeciły białe nitki, wyglądał na starca. Nic też nie rzekł, bo nie było co powiedzieć, a że Borcho robi, jak mówił, przekonał się niedługo. Chorego nie gnano więcej do pracy, ale też nie zajmował się nim nikt. Leżał na barłogu, jak bezpański pies, wodząc za towarzyszami żalonymi oczyma, które świeciły gorętwą w zapadniętej, pokrytej jasnym zarostem twarzy. Nie tylko żywność mu wstrzymano, ale towarzysze gniewni, że w najcięższym czasie znowu odpadła para rąk, nawet wody mu nie podali. Znowu Przedśław zajął się nim i sam nie dojadając, przynosił mu nieco pożywienia. Ale gdy chory skarżyć się począł, burknął:

- Badziej ciesz się, że kończy ci się niewola. Gdybym umiał, nad sobą bym się lutował.

- Życia żal - szepnął chory.
- Juści, jest czego żałować.
- Żona czeka.
- Miałaby na co.

Chlory umilkł, widno dotknięty. Nie wiedział, że Przedśław mówi o sobie. Skargi jego poruszyły w Przedśławie osad goryczy, który siłą wdusił na dno świadomości. Wraz z nim podniosła się tęsknota za dziećmi i żal do księcia, że nie zatroszczył się o swego woja. Powiedział pół do siebie, pół do chorego:

- Poty człek dobry, póki na nogach stoi. Nikomu nic po dziadzie. Byle ino zdechnąć prędej.

Zdało się, że to życzenie wkrótce się spełni. Przedśław zaczynał odczuwać upadek sił, do którego przyczyniło się i to, że część dość skąpego pożywienia oddawał choremu. Gdy ten zmarł, Przedśław suchymi oczyma patrzył na jego pogrzeb. Dwóch niewolników ujęło zeszywniałe ciało za głowę i za nogi i do rzeki cisnęło. Przedśław pomyślał, że i on za życie pełne znoju nie dorobi się nawet mogiły, przy której dzieci choć wspomnieć by ojca mogły. Nie zostanie po nim żaden ślad.

Pracował jednak dalej, gdyż wolał choćby największy trud, niżby go jak bydłę poganiano. Ale czuł, jak gasną siły w więdnącym ciele i jak obojętnie mu wszystko. Niczego już nie chciał, jeno jak chore zwierzę zaszyć się⁷ w ciemny kąt i czekać na śmierć. Ale jeszcze miał się przekonać, że nie wszystko w nim umarło. Gdy uginając się pod ciężarem niósł naręczę drew do checzy, potknął się i rozsypał brzemię. Z trudem pochylił się, by je zebrać, gdy poczuł uderzenie kija na grzbiecie, które jakby iskrę wykrzesало z zimnego głazu. Nim sobie sam uprzytomnił, co się stało, odwrócił się i wyciął w twarz zaskoczonych dozorcę. Potem stał już spokojnie i patrzył, jak obalony zbiera się ocierając twarz z krwi - przygotowany do walki, która będzie ostatnią. Jego nie zatłuką bez oporu.

Ale tymczasem nie stało się nic. Dozorca zaklął i odszedł, a Przedśław pozbierał brzemię i zaniósł do checzy. Widno dozorca nie ubił go dlatego, że Borcho liczy jeszcze na okup. Ale Przedśław nie łudził się, by uszła mu sprawa na sucho.

Dozorca, przekonawszy się jednak, że tego niewolnika bezpieczniej zgubić, niż uderzyć, znalazł liczne sposoby, by dać mu odczuć, że życie może być jeszcze cięższe niż było. Wyznaczał mu najgorszą pracę, dawał najgorsze narzędzia. Pożywienie otrzymywał Przedśław zawsze ostatni: ochłapy mięsa i resztki wystygłej, przypalanej kaszy. Poza tym dozorca bez trudu znalazł między niewolnikami takich, którzy, by mu się przypochlebić, dokuczali staremu, choć nigdy w oczy, bo budził w nich lęk. W nocy często niby nienaumyślnie deptano po nim, to znów legowisko mu ktoś zapaskudził. Przedśław znosił to udając, że nie dostrzega, ale udręka wspólnie ze złym pożywieniem wyczerpała go do reszty. Jednego ranka nie znalazł w sobie sił, by wstać. Wiedział, że teraz już będzie koniec, i leżał obojętny. Nie poruszył się nawet, gdy dozorca kopnął go, odskakując jednak przezornie. We wzroku starego tliło się jeszcze coś, co sprawiło, że dozorca poprzestał na jednym kopnięciu i wyszedł. W południe Przedśław nie dostał już jeść, ale nie czekał na to. Gdyby nawet któryś z towarzyszy ważył się go nakarmić, nie byłby przyjął. Gardził nimi i chciał umrzeć.

Nie czuł zresztą głodu, dręczyło go natomiast pragnienie. W majakach, które zaczęły go nachodzić, najczęściej widywał swą córeczkę Radkę, jak niesie mu dzban pianistego piwa. Ale gdy wyciągnął rękę, zjawa znikwała. Coraz częściej zapadał w męczący sen i stracił całkiem rachubę czasu. Potem do świadomości jego dobijał się jakiś niezwykły ruch na wyspie, po którym zapanowała zupełna cisza. Przedśław odetchnął z ulgą i długo leżał jak martwy, w półśnie, półjawie. Jak przed tonącym przesuwało

I się przed jego oczyma całe życie, długie i ciężkie, a tak wyraziste, że nie wiedział - zjawia to czy rzeczywistość. Majaki urwały się na walce w Kołobrzegu przeraźliwym bólem w nodze i Przedślaw zapadł w ciemność. Ale i poprzez nią słyszał odgłosy walki, zrazu jakby dalekie, lecz coraz przybierające na sile. Z wysiłkiem zebrał zmysły. Nie myli się: odgłosy te zna od dzieciństwa. Widno księżę wdarł się do grodu. Trzeba mu iść naprzeciw, a Przedślaw leży obezwładniony bólem i ogłuszony. Największym wysiłkiem woli zerwał się i krzyknął:

- Naprzód!

Skoczył, ale noga załamała się pod nim i runął na twarz.

Tak go znaleźli towarzysze, którym księżę szukać kazał Przedślaw, gdy go nie wydano wraz z innymi jeńcami. Dźwignięty, otworzył półprzytomne oczy i zapytał z wysiłkiem:

- Księżę w grodzie?

- Kołobrzeg zajęty, a ninie na Kamień ruszamy - odparł wojak.

- Beze mnie - szepnął Przedślaw przez posiniałe, zaciśnięte wargi.

W kącie, utworzonym przez rzekę i morski brzeg, setki ognisk obozu odbijało swe blaski w ciemniejących wraz z niebem wodach. Nadchodził pogodny wieczór. Na zachodzie mieniły się zorze wszelkimi odcieniami barwy czerwonej i złotej, od jaskrawego żaru głowni do ciemnego bursztynu.

Pomału zapadała ciemność, ale gwar obozu nie cichł. Zapomniano już o trudach ostatnich dni, nie myślano o jutrzejszych. Młodość korzystała z każdej chwili swobody, by się odprężyć, roześmiać i rozśpiewać. Nikt nie brał się do snu. Z miasta przysły barki wypełnione beczkami z winem, miodem i piwem, mięso, dziczyzna, chleb i nie znane często wojom korzenie. Gotowano ucztę, której najlepszą jednak przyprawą, o przedziwnym, upajającym smaku i woni, było. zwycięstwo. Nikt nie myślał o tym, że Bolko nie zwykł długich wczasów używać. Niech starość czas traci na wypoczynek; młodości na sen szkoda.

Księżę siedział przed namiotem i patrzył z uśmiechem na swych wojów. Jeszcze niedawno i on umiał żyć chwilą jak oni, cieszyć się zwycięstwem dla samego zwycięstwa. Teraz patrzył na nie jak na jeden więcej krok do celu, którym było zjednoczenie Pomorza z resztą ziem polskich. Cel był jeszcze odległy, osiągnięcie go miało zająć znaczną część jego długiego, blisko czterdziestoletniego panowania, a wciąż jeszcze dzielić musiał siły i myśli, nie mogąc ich jednemu poświęcić. Dlatego pilił.

Wstał niecierpliwie i ruszył ku mostowi. Szedł, patrząc na ciemną wodę rzeki, na której grały odbłaski ognisk. Minał most i skręcił ku morzu. W miarę jak się oddalał, gwar obozu przechodził w szum podobny do szumu ula. Przed oczyma Bolka jak olbrzymi wał wyrastała ciemna masa wody, wysoko na widnokregu odcięta od nieba jaśniejszym pasem gasnącej zorzy. Doszedłszy do brzegu, Bolko stanął w zadumie.

Przerwała ją pieśń. W wieczornej ciszy niosła się zwartym i czystym dźwiękiem, jakby nie sto ludzkich piersi ją śpiewało, ale jednym głosem cały szeroki kraj. Słony wiatr pociągnął od morza i ruszył falę. Na ciemnej powierzchni zabieliły się grzywy i z cichym szumem sunęły do stóp księcia, liżąc je jak wierny pies, po czym cofały się z sykiem, jak olbrzymia harfa wtórując zgodnym rytmem słowom pieśni:

Nosili nam ryby cuchnące i słone,

My sami przychodzim po świeże w tę stronę.

Ojce jeno grody radzi najeżdżali,

*Nas burze nie straszą ni huk morskiej fali.
Ojcom zadość było jeleń, dzik czy koza,
My skarby i stwory wylawiamy z morza.*

Morze. Nie ten czy inny gród, nie łupy, które dziś wojak weźmie, a jutro roztrwoni. Źródło bogactwa i siły, droga w świat, granica pewniejsza niż wszelkie wały czy przesieki.

Myślom księcia wtórowała pieśń:

*Z skarbami i chwałą my z morza powrócimy,
Przed światem my całym taką pieśń zanucimy:
Już morza my nigdy nie wypuścimy z ręki,
Godny wódz naddziada, godne dziadów wnęki,
Choć przemoc nas wraża od brzegu odrzuci,
My zawsze tu wrócimy, jak fala powróci.*

Bolesław stał jeszcze, choć umilkła już pieśń. W potężną pierś chłonał szeroko słony i wilgotny oddech morza. Noc już zapadła, ale w sobie miał jasność wytkniętego celu. Biada temu, kto stanie w drodze. Pięć tygodni walk, pochodów, niewczasów budziło w nim miast znużenia poczucie mocy, jakby w siebie wziął siłę całego narodu.

Cisza była i żaden głos ludzki nie mącił już nocnego spokoju, jeno szum i syk biegnącej i cofającej się fali zdał się nadal wtórować słowom, które jak echo brzmiały w duszy Bolesława:

My zawsze tu wrócimy, jak fala...